Kurjer literacko naukowy

… IV. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 31

Węgry i Polska w roku 1920

Na początku roku 1920, w chwili, gdy Sowiety, po zwycięstwie nad Denikinem i Kołczakiem rzuciły na Polskę główne swe siły, narażoną ona była na niebezpieczeństwo zagrażające jej terytorjum i niepodległości. Ujrzano wówczas na olbrzymiej arenie od brzegów Dniepru, Berezyny i Dźwiny z jednej, a Wisły z drugiej strony, rozstrzygające się z losami Polski i Rosji losy całej Europy.

Polska była tylko pierwszą zaporą dla nawały bolszewickiej, która otworzyłaby sobie drogę do Niemiec (ulegających wskutek poniesionej klęski kryzysowi politycznemu) i Czechosłowacji (zajętej wówczas organizowaniem swej konstytucji, z częścią ludności o sympatjach bolszewickich). Projekty olbrzymie, których urzeczywistnienie zdawało się nieuniknionem.

Jednak Polska oparła się. Po wyprawie kijowskiej bolszewicy rozpoczynają 14 maja kontratak. Polacy, ulegając sile przeważającej cofają się o 100 kilometrów, wracają jednak w końcu czerwca na dawne pozycje. 4 lipca następuje nowa ofensywa sowiecka. Pod naporem ich czynią Polacy olbrzymi krok wstecz, cofają się o 600 km., nacierają tylko w niektórych punktach, dochodząc w ten sposób w ciągu dni 40 do brzegów Wisły. Dopiero po sześciu tygodniach walk rozpaczliwych rozpoczęła się od południa słynna kontrofensywa z 16 sierpnia.

Dla dokładnego wytłumaczenia tych kolejnych posunięć i cofnięć się, nie wystarczy mówić o patrjotyźmie narodu polskiego. Należy rzucić okiem poza granice Polski, bowiem ścisły związek pomiędzy operacjami armji polskiej z jednej strony, a dostarczeniem jej lub brakiem materjałów wojennych z drugiej, — zdaje się być dzisiaj sprawą niemal ustaloną.

Polska potrzebowała koniecznie obcego współdziałania, wobec kompletnego zniszczenia w czasie wojny światowej zarówno rolnictwa jak i przemysłu. Tymczasem Niemcy i Czechosłowacja zamykały swe granice przed wszelkiemi przesyłkami dla Polski, to samo czyniło wolne miasto Gdańsk, do którego dostęp pragnęły zapewnić Polsce mocarstwa Zachodnie. Ponadto znaczna ilość robotników zachodnich, obłąkanych czerwoną propagandą, nie chciała pracować na szkodę mniemanego rządu „robotniczego" rosyjskiego, strajkując dla przeszkodzenia przewozowi i ekspedycji ładunków, tak bardzo potrzebnych Polsce. Jedyna możliwa droga była przez Rumunję, kędy przechodzić mogły ładunki przychodzące z Węgier. Węgry jedynie mogły dać skuteczną pomoc Polsce.

Chodziło przedewszystkiem o wysłanie wojsk, co nie zostało zrealizowane, bynajmniej jednak nie z winy Polski lub Węgier. Dnia 10-go lipca, w chwili cofania się Polaków przed ofensywą bolszewicką, przyszło z Polski drogą nie ściśle oficjalną, zapytanie, czy armja węgierska byłaby w możności wysłania 20 lub 30 tysięcy kawalerji. W trzy dni potem donosi rząd węgierski, że nie rozporządza tak znaczną kawalerją, lecz mógłby za zgodą Ententy wysłać wojska, które Polska uzbroiłaby sama. Rozpoczęły się natychmiast kroki oficjalne i minister węgierski w Warszawie zakomunikował polskiemu ministrowi spraw zagranicznych wszelkie potrzebne wiadomości o siłach wojennych, jakie Węgry mogłyby przysłać do Polski. Chodziło tylko o otrzymanie zgody Francji.

Dnia 4 sierpnia doniósł minister węgierski w Paryżu, że Francja skłonną jest do spełnienia prośby Węgier pod warunkiem otrzymania zgody Rumunji i Czechosłowacji. Dziesiątego sierpnia przyszła odpowiedź czeska, kategorycznie odmowna. Bez zwłoki, 12 sierpnia wojska narodowe węgierskie ofiarowały pośrednią pomoc swą Polsce, lecz propozycja nie mogła zostać zrealizowana, albowiem w parę dni potem nastąpiła walka decydująca pod Warszawą, zakończona zwycięstwem armji polskiej. Stanowisko rządu czeskiego zostało zresztą wyjaśnione tegoż dnia w dzienniku „Prawo Lidu", głównym rządowym organie Pragi. Pod datą 15 sierpnia 1920 roku, tj. w wigilję zwycięstwa pod Warszawą, pisał on:

Tama antibolszewicka, która zresztą nigdy nie była silną, runęła ostatecznie. Francja i Anglja uczyniły próbę wciągnięcia Czechosłowacji do akcji przeciw Sowietom: wspólnie z Rumunją i Jugosławją powinnibyśmy byli wzmocnić front polski. Otóż, dla nas polityka podobna jest wręcz niemożliwą. Nie poszlibyśmy nigdy tą drogą za żadną cenę, bez względu na to co później nastąpi. Węgrzy zadeklarowali gotowość spełnić tę rolę kata. Gotowi są wysłać kilka dywizyj przeciw Rosji przez Słowację i Ruś. W imieniu całej socjaldemokracji czeskiej ogłaszamy co następuje: nie zgodzimy się za żadną cenę, dla żadnej korzyści i pod żadną presją przemocy na przejście armji białych Węgier przez nasze terytorjum.

Byłoby jednak niesłusznem twierdzić, że pogląd taki wyznawała tylko socjaldemokracja, najsilniejsza wówczas partja czeska. Inny dziennik urzędowy „Tribuna" propagował również opór przeciw wszelkim projektom współpracy z Polską.

Uczucia sowietofilskie stają się tam coraz silniejsze. Prestige Ententy już się wyczerpał, a opinja publiczna zwraca się przeciw niej jawnie. Podobne były uwagi ze strony prawicy, gdzie „Narodni Listy" organ skrajnie nacjonalistycznych demokratów okazuje się nie mniej energicznym.

„Narody — powiada on — nie powinny już znosić, by je traktowano jak pionki w grze szachowej. Przeszedł już czas, gdy można było zaprzęgać ludy do imperjalistycznych planów zagranicy. Projekty niektórych mężów stanu Ententy przynoszą nam pożyteczną naukę pod tym względem. Wynika stąd potrzeba uniezależnienia naszej polityki zewnętrznej. Nie chcemy stać się narzędziem interesów obcych, chcemy prowadzić niezależną politykę zewnętrzną".

W ten sposób gotowi byli nacjonaliści czescy wyprzeć się przyjaźni tej samej Ententy, która im dała niepodległość przed niespełna osiemnastu miesiącami. Gotowi byli raczej zerwać z Ententą, niż dopomóc „imperjalizmowi polskiemu".

Nie powstawali jednak przeciw imperjalizmowi rosyjskiemu, nawet gdy imperjalizm ten przejawił się w formie bolszewizmu.

Oto dlaczego pomimo całej swej dobrej woli, manifestowanej tak często i wyraźnie, nie mogły Węgry przysłać wojsk na pomoc Polsce.

Po niepowodzeniu z tej strony z winy Czechosłowacji leżało Węgrom tem więcej na sercu wykonać o ile możności najdokładniej zobowiązania swe dawne wobec Polski, przesyłając jej materjał bojowy.

Dnia 4 marca 1919 roku podpisały rządy polski i węgierski pod gwarancją komisji militarnej Ententy formalną konwencję co do dostarczania materjału wojennego. Na mocy tej konwencji Węgry dostarczyły armji polskiej już w 1919 roku 20 miljonów nabojów Manlichera, 20 tysięcy ładunków artyleryjskich, znaczną ilość kuchni przewozowych, kuchni przenośnych i pieców polowych.

Później na początku roku 1920, gdy rząd polski widział wyraźne przygotowania wojenne sowietów, pozwolił rząd węgierski dnia 6 marca, fabryce nabojów Manfreda Weissa w Csepel, — pracującej jeszcze w tym czasie — dostarczyć Polsce 40 miljonów nabojów różnej marki i trzydzieści miljonów karabinów Mausera.

Coprawda ekspedycja owa została prawie natychmiast zatrzymana, gdyż rząd czechosłowcki zakazał wkrótce przewozu przez swoje terytorjum wojennego materjału dla Polski, zatrzymując ponadto jedną przesyłkę w Kassa. Postępek ten rządu czeskiego był główną przyczyną załamania się wojska polskiego. Wskutek zamknięcia kolei żelaznych Czechosłowacji trzeba było ekspedjować przez Węgry ekwipunek wojskowy z Francji via Wiedeń, co zapełniło około stu pociągów. Dziesiątego czerwca zwrócił się w tej sprawie przedstawiciel Polski w Wiedniu do rządu węgierskiego. Rząd węgierski odpowiedział natychmiast na zapytanie polskie podejmując się przetransportowania danego materjału wojennego bez wszelkich sprzeciwów. Dał on jednocześnie instrukcję kolejom węgierskim, nakazując możliwie prędkie załatwienie transportów z jaknajwiększem uwzględnieniem wymagań polskich.

Faktycznie w okresie, do 30 lipca 1920 roku przeszło przez Węgry dużo pociągów polskich, które były skierowane przez Rumunję. Ponieważ wobec spowodowanego w ten sposób przedłużenia drogi i niedokładności aparatu kolejowego w Rumunji los pociągów tych był bardzo niepewny, pozwolił węgierski minister wojny od dnia 30 czerwca na przysłanie odziałów polskich dla konwojowania pociągów. Dnia 6 lipca polecił rząd węgierski zarezerwować dla Polski wszelkie zapasy fabryki nabojów Csepel nakazując jednocześnie tej fabryce pracować przez następne dwa tygodnie wyłącznie dla armji polskiej.

Trzydziestego lipca spotkała sprawę zaopatrywania Polski przez Wiedeń nowa klęska. W tym to właśnie czasie ogłosiła druga Międzynarodówka socjalistyczna bojkot „reakcyjnych" Węgier, środek skierowany właśnie przeciw zaopatrywaniu Polski. Rozkaz II. Międzynarodówki został wykonany i socjaldemokratyczni robotnicy wiedeńscy zatrzymali faktycznie wszystkie pociągi przeznaczone dla Polski.

W ten sposób położenie armji polskiej wciąż się pogarszało. Rządy próbowały powtórnie nakłonić gabinet Pragi do pozwolenia na tranzyt przesyłek francuskich przeznaczonych dla Polski. Lecz rząd czeski pozostał niewzruszony manifestując kilkakrotnie swą kategoryczną opozycję. W deklaracji z dnia 4 sierpnia 1920 roku Benesz, minister spraw zagranicznych Czechosłowacji, obstawał przy kompletnej neutralności republiki czeskiej. W dwa dni potem oznajmił Lloyd George w Izbie Gmin, że nie można mieć żadnej nadziei na najmniejszą pomoc Czechów dla Polski.

9-go sierpnia 1920 roku trwała Rada Ministrów przy utrzymaniu najściślejszej neutralności. Nazajutrz polski charge d'affaires w Pradze, zawiadomił przedstawiciela Węgier p. Tahy o ostatecznej decyzji rządu czeskiego za-

kazania transportu amunicji przeznaczonej dla Polski przez Czechosłowację.

Tymczasem hordy czerwone zbliżały się ku Warszawie. Na szczęście zbliżały się i ładunki nadchodzące z Węgier. Wyekspedjowane z Węgier w lipcu, po długiem okrążeniu przez Rumunję, z opóźnieniem miesięcznem, przybyły wreszcie te przesyłki 12-go sierpnia do Skierniewic. Czerwoni byli w owej chwili tak blisko Warszawy, że Dowództwo Naczelne Polskie, kierowane mądrą ostrożnością, wolało wyładować owe osiemdziesiąt wagonów w Skierniewicach nie sprowadzając ich do Warszawy.

21—22 miljony nabojów wystarczyły — na razie — na potrzeby wojska polskiego. Ze zdumiewającą szybkością dopełniło Naczelne Dowództwo polskie w ciągu dwóch dni podziału ładunku między korpusy. Od dnia 15-go sierpnia rozpoczęła armja polska atak na wroga, odnosząc ostateczne zwycięstwo, która uratowało Warszawę.

Jednak rząd węgierski nieuważał swego dzieła pomocy za skończone. Przesyłał amunicję w dalszym ciągu, co pozwoliło armji polskiej wykorzystać w pełni odniesione zwycięstwo. Pozatem dnia 13-go września zawartą została pomiędzy delegatami polskimi i administracją królewskich kolei węgierskich nowa konwencja co do przysłania około czterystu wagonów materjałów wojennych obcych i dwustu wagonów materjałów wojennych węgierskich przez Rumunję.

W sumie, w ciągu owego roku 1920 poza wojennym materjałem obcym przewiezionym żelaznymi kolejami Węgier, — zrobiono na Węgrzech i przesłano do Polski ładunki następujące:

48 miljonów nabojów Mausera,
13 miljonów nabojów Manlichera,
240 kuchen przewozowych,
200 kuchen przenośnych,
80 pieców polowych.

oraz kilka miljonów części składowych do karabinów Mausera.

W ten sposób Węgry, wierne swej historycznej przyjaźni oddały Polsce w czasie wojny polsko - rosyjskiej z roku 1920 usługi bardzo ważne, bez których armja polska nie mogłaby stawić czoła wrogowi pod Warszawą. Jednocześnie dały Węgry najszlachetniejszy przykład oddania się sprawie całej cywilizowanej ludzkości, gdyż w owej właśnie chwili widziały one rozbiór swego terytorjum, z woli tejże Ententy, do której należała Polska.

Kto wie, czy groza nieszczęścia ucisku bolszewickiego, które w roku 1920 wisiało nad Polską, a wskutek tego i nad całą Europą zachodnią, nie byłoby mniejsze, gdyby między Polską a Węgrami istniała granica wspólna, której korzyść wykazały wieki historji najbardziej burzliwe.

Morze w powieści polskiej

Do niedawna jeszcze nasza literatura marynistyczna przedstawiała się niesłychanie ubogo. Straciliśmy na długie lata bezpośredni kontakt z morzem; inne, bliższe i w danej chwili aktualniejsze tematy absorbowały uwagę zarówno pisarzy jak czytelników.

Do czasów odzyskania niepodległości i dostępu do własnego morza, — na palcach policzyć można pisarzy, którzy w powieściach swych poświęcaliby więcej miejsca morzu, czerpiąc wątek opowieści z własnych przeżyć i podróży.

Pierwsze, naczelne miejsce między nimi zajmuje *Wacław Sieroszewski*, prawdziwy marynista w wielkim stylu. Przewędrował wszystkie morza i oceany, od Lodowatego począwszy, aż do morza Czerwonego i Kaspijskiego. I wrażenia swoje odmalował po mistrzowsku w swych nowelach *„Wśród lodów“, „Risztau“*, a zwłaszcza *„Jak liść jesienny“...*

Niepoślednią też rolę odgrywa morze w epopei Sieroszewskiego o *„Beniowskim“*, której część druga, zatytułowana *„Ocan“*, daje szereg przepięknych opisów morza i bohaterskiej walki człowieka z groźnym żywiołem.

Było to wszystko jednak egzotyką, — zarówno ze względu na tło i akcję, jak i na postaci bohaterów tych opowieści.

* * *

Z chwilą odzyskania niepodległości zainteresowania naszych pisarzy poczynają się zwracać w stronę Bałtyku. Początkowo są to ostrożne, nieśmiałe próby.

Na morze patrzymy jeszcze od strony wybrzeża naszego, — wskrzeszamy przebrzmiałe echa naszej przeszłości.

Tak powstaje wspaniała epopeja *Żeromskiego „Wiatr od morza“*, wskrzeszająca we wspaniałych, sugestywnych wizjach całą przeszłość naszego Pomorza, nad którą unosi się Smętek „symbol zniszczenia i nienawiści, nieubłagany wróg Polaków.

Tej samej idei służy też i *„Międzymorze“*, poemat prozą o wybrzeżu naszem i obu morzach — wielkiem i małem.

Przypomnieć też należy, że Żeromski już i poprzednio niejednokrotnie poświęcał opisom morza dużo miejsca w swoich utworach, żeby tylko wymienić *„Popioły“* i *„Urodę życia“* z jej mocnem, wspaniałem zakończeniem.

W miarę, jak „zbliżamy się do morza“, jak rozwija się nasza flota handlowa i wojenna, a Gdynia z małej wioski rybackiej zmienia się w potężny port, otwierając nam wrota na szeroki świat, — nasza literatura marynistyczna zaczyna wykazywać coraz silniejszy rozkwit.

Wymienić tu należy doskonałe, żywo pisane, a ujmujące swą szczerością i bezpośredniością przeżyć, opowieści i nowele morskie *Tad. Dębickiego: „Od brzegu do brzegu“ i „Z dziennika marynarza“* (na pokładzie żaglowca „Lwów“ podróż z Gdańska do Rio de Janeiro i spowrotem), — dalej *Stan.*



M. Salińskiego „Opowieści morskie“ (no welki z włóczęgi po morzach północnych i południowych), — oraz piękne nowele *Jerzego Szareckiego: „Groźny kapitan“* — i *„Na pokładzie Lwowa“*.

Doskonałe opisy życia na morzu i walki z groźnym żywiołem daje też *S. Zaleski* w kilku nowelach z cyklu



swych opowieści sportowych *„Największe zwycięstwo“*.

Morze też jest wątkiem i tłem powieści *Jerzego Bandrowskiego: „Kolejka“*, historycznej powieści z XVII w. *F. Ossendowskiego: „Pod polską banderą“*, oraz *St. Grabińskiego „Klasztor i morze“*.

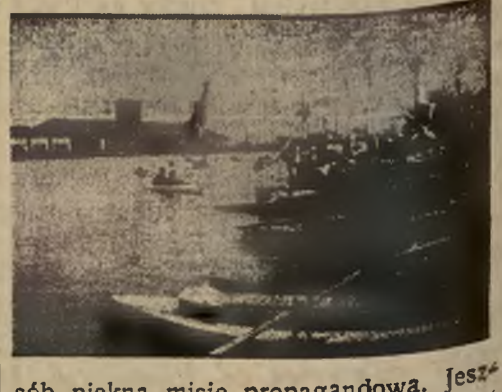
Z innych utworów beletrystycznych zasługują na wzmiankę: *S. Balickiego: „Dziewiąta fala“* i nowelki *Jima Pokera: „Panna Wodna“*.

* * *

Z biegiem czasu zaczyna rozwijać się u nas coraz piękniej sport żeglarski. Zwłaszcza młodzież zasmakowała w tym pięknym sporcie, hartującym ducha i ciało, przynoszącym moc nowych a silnych wrażeń i przeżyć. Zaczynają się wycieczki, początkowo w bliższym, potem w coraz dalszym promieniu, aż na drugą półkulę.

Powstaje cała literatura pamiętnikarska, nie mająca może większej wartości literackiej, ale dająca piękne świadectwo naszej tężyźnie i ukochaniu morza.

Niemała w tem zasługa *Marjusza Zaruskiego*, który systematycznie, wytrwale od dziesięciu lat pływa na jachtach polskich i wszystkie swe podróże opisywał kolejno, spełniając w ten sposób piękną misję propagandową. Jeszcze w r. 1925, w opisie swej pierwszej podróży jachtem polskim, pisał:



„Pomimo odzyskania wybrzeża morskiego jesteśmy dotychczas lądowem społeczeństwem... Jak najspieszniej potrzeba nam się zabrać do pracy, zbliżyć społeczeństwo do morza, wychować pokolenie ludzi znających morze, rozmiłowanych w niem do najwyższej tęsknoty“.

Zpośród kilkunastu dzieł Zaruskiego, poświęconych morzu, wymienianym ostatnio wydane *„Wśród wichrów i fal“*, posiadające nieprzemijającą wartość również dzięki wspaniałej szacie typograficznej.

* * *

Jest jeszcze jeden marynista najczystszej wody: *Bohdan Pawłowicz*. Prawdziwy „tramp“ morski, niepoprawny włóczęga, zakochany poprostu w morzu. Poświęcił mu przecież — jak najczulszej kochance — tomik swoich poezyj, szczerych, prostych, serdecznych.

Opiewa je w swych powieściach egzotycznych: *„Pod polską banderą“, „Córka latarnika“*, a zwłaszcza w wydanej ostatnio *„Załodze“*. A jak on umie patrzeć na nie i malować śmiałemi rzutami, czy wówczas, gdy mieni się najczystszym szmaragdem, czy kiedy otulić się w nieprzeniknionny tuman mokrej mgły, czy kiedy rozkołysane od wichru wali całe góry wodne na pokład, szarpiąc, drąc i rwąc wszystko na strzępy!

Piękny styl, wybitny talent narracyjny i szlachetna tendencja wszystkich jego powieści Pawłowicza zapewniają dziełom poczesne miejsce w naszej literaturze marynistycznej.

* * *

Jak z powyższego, zgoła nie wyczerpującego zestawienia widać, — nie przedstawia się ona dotychczas zbyt bogato, — zwłaszcza w porównaniu już innemi państwami. Posiada jednak dziś sporo pięknych i cennych pozycyj, których ilość niewątpliwie wzrastać będzie szybko z każdym rokiem. Bo dzisiaj już cały naród polski garnie się do morza, wbrew temu, co niegdyś pisał Sebastjan Klonowicz, że

może nie wiedzieć Polak,. co to morze: gdy pilnie orze...

K. Rychłowski

Dziwy i cuda grafologji

„Zmysły, fantazja, i samo nawet myślenie, jakieby ono nawet było górne i oderwane, nie mogą spełnić swych funkcyj bez wywołania w nas jakiegoś odpowiedniego odczucia, które przenosząc się na cały teren organów zewnętrznych, skłania się do ujawnienia siebie w sposób poszczególnym organom właściwy, zupełnie tak samo, jakby każdy z organów uległ podrażnieniu bezpośredniemu“.

Powyższe słowa Gratioleta w jego dziele „De la physionomie“, któremi J. Crepieux - Jamin otworzył swoje nieśmiertelne „Traite practique de graphologie“ (Paryż 1898 wyd. 6), obudzić muszą głębokie zastanowienie u powstających w ostatnich czasach coraz liczniej nieprzyjaciół grafologji, odmawiających jej prawa bytu i przynależności do psychologji w charakterze poważnego współczynnika w zakresie prac psychologji doświadczalnej.

W r. 1911 podało „Umschau“ pracę p. H. Bensa, która jest niejako ogólnym wyrazem poglądów nielicznych — na szczęście — nieprzyjaciół grafologji, podających jej autorytet w wątpliwość, a starających się dowieść, że w piśmie odzwierciedla się tylko temperament danego człowieka, nie zaś jego charakter. Zły wzrok, choroby, podniecenie, cierpienia, zaburzenia nerwowe, skurcze mięśni, wywierają — zdaniem p. Bensa — niewątpliwie bardzo znaczny wpływ na rodzaj pisma, byłoby jednak zasadniczym błędem opierać na tem wnioski o charakterze piszącego, albowiem w tych szczegółach czysto zewnętrznych gra dużą rolę temperament człowieka, z charakterem jego nie mający nic wspólnego. Jako atut drugi wysuwa dziedziczność pisma, zasłaniając się pseudofaktem powtarzania się charakteru pisma u członków jednej i tej samej rodziny, nieraz z pokolenia w pokolenie. Wreszcie trzeci zarzut, to wpływ, jaki na pismo wywiera budowa ręki, mięśni, unerwienie i t. p., dając jednemu przyrodzoną łatwość pisania, drugiemu jej odmawiając dzięki zgrubieniu palców, miejscowym znieczuleniom nerwów, wadliwemu rozwojowi mięśni i t. d., które to wady organiczne najczęściej w dziedzictwie przechodzą z ojca na syna.

Podobne zarzuty stawiać może jednak ten tylko, który przebiegłszy teorję grafologji, nie zetknął się z nadzwyczajnemi wprost rezultatami doświadczeń praktycznych w jej dziedzinie, albo... nie słyszał nigdy o wynikach pracy Cesarego Lombrosa, którego sławne nazwisko i u nas od lat jest popularne, a który obdarzony grafologję na usługi kryminalistyki, argumentował tem samem na zawsze jej autorytet, sławę wśród najszerszych mas społeczeństwa cywilizowanego świata.

Nie miejsce tu na polemikę z p. Bensem. Na obronę jednak grafologji od jej niesprawiedliwych napaści podać należy ciekawy niezmiernie fakt, jaki się zdarzył we Francji przed laty kilkudziesięciu.

Oto żył wówczas w Paryżu kadłub ludzki, kadłub artysty malarza, stwarzającego bardzo pokupne swe dzieła i sporządzającego swą liczną korespondencję ustami. Człowiek ten, dotknięty istnem dziwactwem losu, będąc już rutynowanym malarzem, o dość znanem nazwisku, począł tracić, dzięki nieszczęśliwym wypadkom, jedną kończynę po drugiej. I tak straciwszy naprzód prawą rękę — malował i pisał lewą. Straciwszy w kilku lat potem lewą, malował i pisał nogami. Straciwszy wkońcu obie naraz nogi, nauczył się w krótkim czasie tak dobrze posługiwać ustami, że stały się one dlań jedynym organem do pisania i malowania.

Ale nie w tem leży dziwo największe. Bo oto pośród ciekawych oglądających człowieka — kadłub znaleźli, że i grafologowie, którzy nie szczędząc badań i pracy, stwierdzili, że tak charakter dzieł malarskich, jak i pisma „kadłuba“ był identyczny z charakterem jego malarskich dzieł i pisma ze wszystkich okresów poprzednich, a więc z czasów posługiwania się nogami, lewą, a wreszcie prawą nogą.

Rękopis, jako wyraz myśli człowieka, ma wszelkie znamiona jego sposobu i zasobu myślenia, z uwzględnieniem najsubtelniejszych nawet odcieni, wahań, niedopowiedzeń i ukrywania się myśli. Arystoteles, Dionizisios z Halikarnasu i Sueton rzucili pierwsi w swych dziełach przypuszczenie, że pismo człowieka zna przejawy jego charakteru.

Demetrius z Falery mówi już w formie pewnika: „Słowo napisane jest zwier ciadłem duszy“. W r. 1622 wydał boloński profesor Camillo Baldo sensacyjną naówczas książkę p. t.: „O sposobie rozpoznania charakteru i właściwości człowieka z jego listu“.

Baldo jest zatem pierwszym grafologiem w świecie.

Po nim zajmują się uczeni tym ciekawym problemem coraz częściej: w 18-tym wieku Goethe zachęca najgoręcej Lavatera do grafologicznych doświadczeń i prac. Wreszcie w 1869 występuje we Francji mnich Michon ze swojemi dziełami p. t.: „Tajemnice pisma ręcznego“, które jako początek wielu jego niezmiernie cennych późniejszych rozpraw, jak n. p.: „Historja Napoleona na podstawie jego pisma“, otwiera grafologji szeroko podwoje świata nczonych, wprowadzając wreszcie u samego schyłku w 19 na katedrę publiczną uniwersytetu w Oxfordzie.

Oddanie grafologji dla użytku i dobra społeczeństwa zapoczątkował Lombroso i od tego czasu zwolna oddaje grafologja w sądach i w policji niezmierne usługi. Dzięki niej tropi się i wynajduje fałszerzów, odkrywa się anonimy, rzuca się światło na wrodzone skłonności zbrodniarzy. Jednem słowem posługują się nią zagranicą wszędzie, powołują się na rzeczoznawców pisma, grafologów, a nie jak u nas do niedawna bywało, kaligrafów.

Znane jest współdziałanie grafologów w słynnej aferze Dreyfusa. Niemałą zasługę oddała grafologja w ustalaniu autorstwa arcydzieł Szekspira.

Dziś już święci grafologja w całym świecie prawdziwe triumfy, służąc wiernie i nieomylnie nawet jednostkom społecznym. W Niemczech, we Francji, w Anglji, Ameryce niema większego miasta, gdzieby nie było instytutu grafologicznego.

Od grafologów roi się szczególnie w Niemczech, gdzie żadna instytucja publiczna, a zwłaszcza banki nie przyjmowały na odpowiedzialne stanowisko zgłaszających się kandydatów, nie poddawszy naprzód po cichu pisma kandydatów pod orzeczenie grafologa.

W szkołach odgrywa grafologja również ważne znaczenie. Dzięki arkanom tej wiedzy zawraca się słabych lub niechętnych uczniów na właściwą dla nich drogę życia, czyni się trafne wnioski na kierunek wychowania dzieci, na ich wady, zalety i zdolności przyrodzone, uzdrawiając przytem społeczeństwo od samych fundamentów.

W medycynie grafologja wywalczyła sobie również poczesne miejsce, stając się nieodzowną cząstką nauki u lekarzy, specjalizujących się w psychiatrji i neurologji.

A wreszcie — któż nie zna frapującego wpływu jej na kształtowanie się myśli i charakteru poszczególnych jednostek? Dzięki grafologom - amatorom od czasu do czasu wyłaniającym się w perjodycznych pismach, jak na firmamencie niebieskim kometa, przynosząca ludziom lęk przed niepewnym losem, jaki może rozkazał jej Bóg dać ziemi — bezimienny tłum, mając porachunki z własnem sumieniem, śle swoje pismo grafologicznej Pytji, pytając się o wartość swojego „ja“ lub swoich najbliższych. Ileż to razy, otrzymawszy srogi wyrok lub wskazaną radę, jedynie grafologji zawdzięcza swą wewnętrzną walkę, owo mocowanie się z samym sobą i niejednokrotnie zwycięstwo. Ileż nieszczęśliwych małżeństw nie doszło do skutku, ileż „wykolejonych“ wróciło na „szyny“ właściwe, ile zła zgięło w zarodku, a nieszczęść „wiszących w powietrzu“, rozpłynęło się w mgle niebytu.

A jednak tę tak, ze wszech miar doniosłą naukę, mającą tyle już zasług w zanadrzu, zdeprawowali w ostatnich czasach Niemcy. Rozmaici wiedeńscy, berlińscy aferzyści, podszywający się pod łechcące ludzką ciekawość miano grafologów, złączyli grafologję z astrologją, urabiając ją przez to w rodzaj wróżbiarstwa. „Mundus vult decipi“, toteż wróżbiarze nowocześni łatwy i hojny grosz skarbią od naiwnych, przynosząc przez to niepowetowaną szkodę i owym naiwnym, deformując wprost ich charakter i sposób myślenia, a niejednokrotnie i etykę — i biednej grafologji, która w ramkach wróżbiarstwa traci zwolna godność swą wyniosłą, schodząc na psy i kuglarze.

Ale nie traćmy nadziei! Era Zmartwychwstań po kataklizmie wojennym może i tę naukę tak doniosłą dla praktycznego życia podniesie z upadku i od da jej należne miejsce.

F. T.

Kolej Kongo-Ocean

Ukończona w zeszłym roku budowa linji kolejowej Kongo-Ocean stanowi ważny etap we francuskiej polityce kolonjalnej w Afryce środkowej.

Jakkolwiek długość całej tej linji nie przekracza 512 km., — to jednak budowa jej przedstawiała wyjątkowe trudności, ze względu na warunki lokalne. Kosztowała też nie mało ofiar z życia ludzkiego, zwłaszcza w odcinku nadmorskim, na bagnistym i malarycznym terenie.

Rozpoczęto budowę w lutym 1921 r. od strony Brazzaville, miasta, będącego stolicą całej kolonji, noszącej ogólną nazwę Rfrique Equatoriale Francaise (A. E. F.) Kolonja ta zajmuje obszar 2,370.000 klm. kwadr., a ilość mieszkańców nie przekracza 3 i pół miljona. Olbrzymie lasy dziewicze, to znów potężne góry, czy lotne piaski pustyni, składają się na prawdziwy tropikalny krajobraz, pełen grozy i dzikiego czaru.

Posiada też A. E. F., a w szczególności Kongo, niewyczerpane bogactwa naturalne: 450.000 klm. kwadr., dziewiczego lasu, ze wszelkiemi gatunkami cennych, egzotycznych drzew; bogate pokłady miedzi, cynku, ołowiu. Pozatem my ślistwo i rybołostwo stanowią główne źródło dochodu i utrzymania miejscowej ludności. Eksploatacja jednak tych skarbów natrafiała dotychczas na nieprzezwyciężone trudności, dla braku odpowiednich środków komunikacyjnych. Transport odbywał się przeważnie drogą lądową, na barkach tubylców, a więc w sposób zupełnie barbarzyński.

Jedyną drogą wodną jest Kongo, rzeka szeroka, poprzecinana jednak w swym dolnym biegu, od Brazzaville do morza, licznemi wodospadami i ławicami piaskowemi, co uniemożliwia kursowanie na niej większych ładownych statków.

Przytem rzeka ta w ostatnim swym odcinku należy terytorjalnie do sąsiedniej kolonji belgijskiej, — a stan ten dawał powód do rozmaitych komplikacyj i nieporozumień.

W tych warunkach jedynem racjonalnem wyjściem było połączenie Brazzaville z morzem zapomocą linji kolejowej. Jej punkt wyjścia znajduje się w małem miasteczku portowem. Pointe - Noire nad Atlantykiem, gdzie też rozpoczęto budowę drugiego odcinka w roku 1923.

Pointe-Noire, liczące jeszcze przed paru laty zaledwie tysiąc mieszkańców, rozwija się szybko, dzięki swemu korzystnemu położeniu i posiadaniu słodkiej wody, o którą trudno w tej okolicy. W związku z budową linji kolejowej przystąpiono do rozszerzenia i pogłębiania portu, który jest dziś wyposażony w nowoczesne techniczne urządzenia, wspaniałe molo i latarnię morską o zasięgu świetlnym 19 mil.

Linja kolejowa wychodząc z Brazzaville, przecina masyw górski Mayombe, pokryty dziewiczym lasem; trzeba było zbudować długi szereg mostów i tuneli, wysadzać w powietrze olbrzymie bloki skalne.

Jeszcze większe trudności nastręczała góra Bamba, przez którą przewiercono tunel długości 1700 metrów.

O kosztach i olbrzymim nakładzie pracy przy budowie tej linji daje wyobrażenie fakt, że trzeba było splantować i usunąć 7 i pół miljona mtr. kubicznych ziemi i sprowadzić 450 tysięcy metrów kubicznych materjału budowlanego.

Francja dokonała wielkiego dzieła, którego całe znaczenie i wartość da się w pełni ocenić dopiero po latach. Znaczenie nietylko ekonomiczne, ale i kulturalne i cywilizacyjne. Już choćby z tego względu, że dzięki tej linji kolejowej skończył się praktykowany dotychczas system transportowania ciężarów przez tubylców, system urągający pojęciu cywilizacji, a strącający murzyna do roli jucznego zwierzęcia.



Bruksela: Arcade du Cinquantenaire

„Witraże“

W artykule o witrażach, drukowanym w dodatku z dnia 21 lipca br., zamieściliśmy reprodukcję witrażu „Pieta“ bez odnośnego objaśnienia.

Dodatkowo zatem zaznaczamy, że witraż ten jest dziełem artysty poznańskiego Stanisława Powalisza i znajduje się w nowym kościele pod wezwaniem św. Antoniego w Chorzowie I.

Redakcja

Osadnictwo w Prusach Wschodnich

SYNTETYCZNE UJĘCIE CAŁOKSZTAŁTU KOLONIZACJI W XIII WIEKU

Nowe warunki, w jakich znalazły się Prusy Wschodnie po wojnie światowej, wywołały żywe zainteresowanie problemami tego kraju i stały się punktem wyjścia bogatej literatury publicystycznej i naukowej, zwłaszcza w języku niemieckim. Ważna rola przypadła w tem historykom niemieckim, których zadaniem było dostarczenie publicystom odpowiednich argumentów jak też wykazywanie praw historycznych narodu niemieckiego do Prus. Zgodnie z duchem czasu, przy wykazywaniu tych praw historycznych uczeni niemieccy poczęli kłaść nacisk nie tyle na fakt orężnego podboju Prus przez niemiecki Zakon Krzyżacki, ile na pracę pokojową Niemców na terenie tej ziemi, która dzięki temu przemieniła się w kraj ucywilizowany i przybrała charakter niemiecki. Okoliczność ta stała się punktem wyjścia obszernych studjów nad kolonizacją Prus w okresie panowania krzyżackiego, zapoczątkowanych w czasach przedwojennych. Rezultatem tych studjów było pojawienie się w ostatnich latach całego szeregu prac, których przedmiotem było zbadanie i przedstawienie rozwoju osadnictwa na poszczególnych obszarach ziemi pruskiej. Nie trzeba dodawać, że historycy niemieccy podkreślali przytem jak najsilniej rolę żywiołu niemieckiego w tym procesie, starając się przytem sprowadzić do jak najmniejszych rozmiarów udział innych elementów etnicznych, zwłaszcza polskiego i litewskiego.

Dzięki tym pracom począł zarysowywać się coraz bardziej wyrazisty obraz rozwoju osadnictwa Prus za czasów krzyżackich, zwłaszcza w okresie największego rozmachu kolonizacyjnego do początków XV w. W obrazie tym istniały jednak wciąż luki i niedokładności, wynikłe stąd, że osadnictwo niektórych obszarów nie było wogóle poddane badaniu, względnie, że poszczególni uczeni przeprowadzili swe badania na różne sposoby i z różnych punktów widzenia.

Wszystkie te luki wypełnia praca Kasiskego.[1]

Przedmiotem jej jest szczegółowe przedstawienie dziejów zasiedlenia Prus Wschodnich od ostatniej ćwierci (od 80-tych lat) XIII w. do 1410 roku. Obejmuje więc autor okres najintensywniejszej kolonizacji tego kraju, okres w którym zarazem żywioł niemiecki odegrał dominującą rolę i był głównym materjałem osadniczym. Pracę swoją oparł autor przedewszystkiem na materjale rękopiśmiennym, zaczerpniętym głównie z Archiwum Państwowego w Królewcu, uwzględniając przytem istniejące wydawnictwa i odnośną literaturę, ale tylko w języku niemieckim. Daremnie bowiem szukać u niego wzmianki o pracach W. Kętrzyńskiego, którego prace nad osadnictwem polskiem w ziemi chełmińskiej, sasińskiej i Galindji nie mogą być w żaden sposób pominięte.

ZASADNICZE PROCESY OSADNICZE

W dotychczasowej literaturze rozwój kolonizacji Prus za czasów krzyżackich został ujęty przez Krollmanna w trzy okresy. W okresie pierwszym, pokrywającym się z podbojem orężnym Prus, kolonizacja była naogół słaba; głównemi formami osadnictwa były wówczas miasta i dobra rycerskie. Natomiast okres drugi sięgający od około 1290 roku do połowy XIV w. był czasem najintensywniejszej kolonizacji, dzięki silnemu napływowi niemieckiego włościaństwa z zewnątrz; rezultatem tego było powstanie w tym czasie wielkiej ilości czynszowych wsi niemieckich. Ok. 1350 roku ustał ruch imigracyjny, dalsze osadnictwo Prus odbywało się przy pomocy miejscowego elementu osadniczego; był to zatem okres kolonizacji wewnętrznej, mniej intensywny od poprzedniego i zakończony w początkach XV w. wskutek politycznych niepowodzeń Zakonu.

Odmiennie od Krollmanna ujmuje autor omawianej pracy przebieg kolonizacji Prus. Uznaje on odrębność pierwszego okresu, który pokrywał się z podbojem Prus, dalszą natomiast kolonizację od 80-tych lat XIII w. do 1410 roku, uważa za jednolitą całość pod względem chronologicznym. Kryterjum przypływu osadników z zewnątrz, tak ważne w schemacie Krollmanna, nie odgrywa u Kasiskego żadnej roli. W swoich badaniach szczegółowych dochodzi on bowiem do wniosku, że imigracja z zewnątrz, trwająca przez cały XIII wiek i silna jeszcze na przełomie XIII i XIV, skończyła się niebawem prawie całkowicie, a dalsze osadnictwo w ciągu XIV wieku odbywało się głównie przy pomocy miejscowej ludności, która, w miarę rozradzania się, przesuwała się z przeludnionych północno - zachodnich ziem na pustynne obszary wschodu i południa.

Dlatego też w całym okresie rozwoju kolonizacji od końca XIII do początku XIV wieku wyróżnia Kasiske 2 różne procesy osadnicze, częściowo sobie równoczesne. Jeden z nich to zakładanie czynszowych wsi niemieckich w czasie od 80-tych lat XIII wieku do około 1370 roku, na obszarze północno - zachodnim ziem pruskich po średnią Drwęcę, Łynę i dolną Pregołę. Drugi, to kolonizacja puszcz leżących na wschód i południe od wyznaczonej powyżej granicy, zapoczątkowana już za czasów Wernera von Orseln (1324 do 1330), prowadzona atoli intensywniej w latach późniejszych; w czasie do 1410 roku objęła ona ziemię lubawską, sasińską, północną i zachodnią Galindję oraz południowo - zachodnią połać Nadrowji. W procesie kolonizacyjnym puszcz mniejszą rolę odgrywała wieś czynszowa, która występuje tu zresztą dopiero około 1370 roku, na plan pierwszy wysuwają się natomiast już znacznie wcześniej różne kategorje dóbr, których właściciele zobowiązani byli w różnej mierze do pełnienia służb wojskowej, a więc pruskie dobra służebne, chełmińskie i wielkie latyfundja. Stosownie do tego w kolonizacji puszcz równorzędną, a bodaj może jeszcze większą rolę odgrywali, obok Niemców, Prusowie, pozatem zaś Polacy, którzy już w połowie wzgl. z końcem XIV wieku występują w znacznej ilości na obszarze późniejszego powiatu działdowskiego, szczycieńskiego, a zwłaszcza niborskiego.

PRZEBIEG DWÓCH OKRESÓW KOLONIZACJI

Do treści zastosowany jest układ omawianej pracy. Przedstawienie przebiegu kolonizacji dzieli autor na dwie części. W pierwszej omawia osadnictwo wsi na obszarze północno - zachodnich ziem. Wyróżnia przytem i przedstawia oddzielnie osadnictwo części zachodniej (westliches Preussen: ziemia chełmińska, ziemia lubawska, Pomezanja, Pogezanja i Warmja biskupia), zakończone w połowie XIV w. — oddzielnie natomiast w części wschodniej (östliches Preussen: Natangja i część krzyżacka Warmji), gdzie proces zakładania wsi zakończył się dopiero ok. 1370 roku. Druga część poświęcona jest przedstawieniu kolonizacji obszarów pustynnych poza linją średniej Drwęcy, Łyny i dolnej Pregoły. W zakończeniu ujmuje autor syntetycznie wyniki swych szczegółowych badań.

Autorowi chodzi głównie o ustalenie czasu powstania poszczególnych osiedli wiejskich i dóbr tudzież wykrycie metod i odrębnych cech procesu kolonizacyjnego na danym obszarze. Pozatem kładzie autor silny nacisk na sprawę pochodzenia osadników przybywających na poszczególne obszary objęte procesem kolonizacyjnym i w związku z tem podkreśla występowanie innych elementów etnicznych obok niemieckiego, a więc Prusaków, Polaków itd. Zasadniczo jednak chodzi mu nie o wykazanie udziału poszczególnych narodowości w dziele kolonizacji Prus, ale o uzasadnienie twierdzenia, że osadnictwo Prus w XIV wieku było przedewszystkiem dziełem ludności miejscowej i że rozwój jego zależał głównie od wewnętrznych jej ruchów i wędrówek.

UDZIAŁ LUDNOŚCI MIEJSCOWEJ

Powyższa teza jest najważniejszym rezultatem badań Kasiskego, stojącym w zasadniczem przeciwieństwie do dotychczasowych poglądów nauki, wyrażonych najsilniej przez Krollmanna. Wedle autora omawianej pracy, przypływ osadników z zewnątrz skończył się właściwie w początkach XIV w., i dalsza kolonizacja odbywała się głównie przy pomocy miejscowych elementów, które z zachodnich, lepiej zaludnionych ziem (ziemia chełmińska, Pomezanja, okolice Elbląga) przesuwały się ku wschodowi; z tego powodu rozwój osadnictwa w Prusach przedstawiał niekiedy np. o ile chodzi o powstawanie wsi, do połowy XIV w., linję falistą. Utrzymanie się tej tezy w nauce może pociągnąć za sobą poważne modyfikacje w ocenie całokształtu kolonizacji Prus, a także i etnicznej fizjognomji ludności tego kraju. Dalszym rezultatem omawianej pracy jest ugruntowanie i rozwinięcie poglądu istniejącego zresztą w dotychczasowej nauce, że kolonizacja Prus od końca XIII do początków XV wieku była dziełem Zakonu, przeprowadzonem systematycznie, planowo i centralistycznie ze ścisłem stosowaniem odpowiednich metod kolonizacyjnych do fizjograficznych i politycznych warunków istniejących na poszczególnych obszarach.

OCENA KRYTYCZNA. — POCZĄTKI OSADNICTWA POLSKIEGO W PRUSACH

O ile chodzi o wypowiedzenie uwag krytycznych w odniesieniu do omawianej pracy, to przedewszystkiem powinny one dotyczyć zasadniczej tezy autora o zależności kolonizacji w XIV wieku nie od imigracji z zewnątrz, lecz od rozrostu miejscowej ludności i jej ruchów. Chodziłoby zatem o przyznanie słuszności tej tezie wzgl. o jej odrzucenie, a podtrzymanie dawniejszych odmiennych poglądów Krollmanna.

Rozstrzygnięcie tej sprawy jest jednak rzeczą niemożliwą dla krytyka, który nie ma możności korzystania z całego materjału źródłowego, w przeważnej części rękopiśmiennego, jaki miał pod ręką zarówno Kasiske jak i jego poprzednicy. Dlatego też poprzestaję tutaj na zaznaczeniu ważności kwestji, nie podejmując prób jej rozstrzygnięcia, zwłaszcza, że w sprawie tej zabiorą niewątpliwie niebawem głos kompetentni uczeni, bezpośrednio w tem zainteresowani.

Ważniejszem natomiast jest zagadnienie początków osadnictwa polskiego w dawnej ziemi sasińskiej (Ostródzkie), do którego omawiana praca przynosi szereg nowych szczegółów. Sprawa ta jest sporną w nauce. Uczeni polscy (W. Kętrzyński, Górski) dowodzą, że Polacy pojawili się na tych obszarach już w XIV wieku, przeciw czemu występują historycy niemieccy (Döhring, Gause, Schnippel), starając się wykazać, że napływ osadników polskich w te strony zaczyna się dopiero po 1466 roku, i że przedtem byli tam oni w znikomej liczbie. Rezultaty badań Kasiskego, który zresztą nie zajmuje się specjalnie kwestjami narodowości osadników, przemawiają raczej na korzyść stanowiska polskiego.

Uczony ten wykazał bowiem, że posiadaczami dóbr, które zostały rozdane około 1350 roku w późniejszem komornictwie działdowskiem, byli w równej mierze Niemcy, Polacy i Prusowie. Natomiast wśród posiadaczy dóbr późniejszego komornictwa niborskiego, rozdanych głównie w trzeciej ćwierci XIV, przeważają stanowczo Polacy, dla których w. mistrz Henryk Tusemer stworzył tutaj osobny typ dóbr polskich. Wśród lokatorów wsi czynszowych spotykamy też współcześnie Polaka we wsi M. Sławce (Klein-Schläfken) w 1358 roku. Podobnie w okolicach Szczytna przyległych od wschodu do ziemi sasińskiej pojawiają się w znacznej liczbie osadnicy polscy w ostatniej ćwierci XIV wieku. Już Saborowski wykazał, że wśród posiadaczy tamtejszych dóbr chełmińskich połowę stanowili Polacy, połowę Prusowie. Kasiske wykazuje, że z pośród sześciu wsi powstałych w latach 1381—1386 w okręgu szczycieńskim, dwie z nich założyli Polacy, po jednej Niemcy i Prusowie, co do dwóch pozostałych kwestja narodowości lokatorów jest niepewną.

Wszystkie te szczegóły zebrane w omawianej pracy są niezmiernie ważne dla spornej kwestji początków osadnictwa polskiego w ziemi sasińskiej i przyległych częściach Galindji; wykazują one bowiem dowodnie, że w kolonizacji tych stron żywioł polski odegrał wydatną rolę już w XIV w. a czasy następne przyniosły znaczny wzrost liczby Polaków w tych stronach.

O ile natomiast chodzi o udział Polaków w osadnictwie Prus Wschodnich wogóle, to bardzo ważnym momentem w tym względzie jest rozwinięta w omawianej pracy teza o zależności rozwoju tego osadnictwa od rozrostu miejscowej ludności i jej ruchów. Skoro bowiem przyjmiemy z autorem, że materjał osadniczy środkowej i wschodniej części Prus w XIV wieku nie był napływowym z Niemiec, lecz pochodził z gęsto zaludnionych zachodnich stron tej ziemi (Pomezanja, Elbląskie) oraz z ziemi chełmińskiej, to tem sa-

[1] *Kasiske Karl Die Siedlungstätigkeit des Deutschen Ordens im östlichen Preussen. Königsberg 1934.*

nem musimy uznać większą rolę Polaków w kolonizacji Prus, niż to czyniono dotychczas. Ludność ziemi chełmińskiej była polską przynajmniej w połowie, jak to przyjmują uczeni niemieccy o ile nie w większości. Z tego wynika, że wśród osadników pochodzących z ziemi chełmińskiej znajdowali się w odpowiedniej ilości Polacy i że zatem było ich niewątpliwie więcej rozrzuconych po całym obszarze Prus, niżby to można wnosić z wyraźnych wzmianek źródłowych.

KOŃCOWE UWAGI

O ile chodzi o określenie znaczenia omawianej pracy, to jest ono niezmiernie doniosłe; praca ta daje bowiem pełny i szczegółowy obraz kolonizacji Prus w okresie jej największego rozwoju od końca XIII do początków XV wieku. Dzięki badaniom Kasiskego i poprzednim Zippela znamy obecnie przebieg kolonizacji Prus od początków do 1410 roku. Najbliższem zadaniem nauki jest obecnie opracowanie dalszych losów osadnictwa Prus w XV wieku i czasach następnych, a więc w okresie, w którym w tem osadnictwie pierwszą rolę odgrywał niewątpliwie żywioł polski. Z tego zatem względu zadanie to powinni wziąć na siebie przedewszystkiem historycy polscy i pójść drogą wskazaną już dawno przez W. Kętrzyńskiego.

Stanisław Zajączkowski
(Toruń).

Polski Dom wypoczynkowy koło Warny

St. Constantin ad Varna (Bułgarja).

Ponieważ z podróży mych po Europie przedsiębranych przed wojną i po wojnie, pozostały mi nieznane kraje, położone nad morzem Czarnem, postanowiłem bieżącego roku wyruszyć do Warny, korzystając z dogodnych warunków wycieczki, głoszonych przez nasz „Orbis".

I nie żałuję mego postanowienia, jakkolwiek nie wszystko się spełniło, co szumnie reklamował prospekt „Orbisu". W normalnych bowiem warunkach pobyt tutaj byłby dla człeka przepracowanego, z nerwami nadszarpanemi — wprost wymarzony. Ma się bowiem tu zupełną swobodę niczem nieskrępowaną, stałą pogodę, upały — lecz nie męczące i nie dające się nawet odczuć, wspaniałe kąpiele w stale ciepłem, czyściutkiem morzu (ciepłota 24—26 st. C.), obszerną piaszczystą plażę, oddaloną o 10 kroków od domu, wygodne, komfortowe umeblowanie i inne urządzenia, polską kuchnię, oraz służbę i doborowe liczne towarzystwo polskie. Ponadto piękne spacery, wycieczki piesze, autobusami lub wodą, owoców południowych wbród, życie tańsze nawet jak w kraju, a wokół przyjazne, szczere twarze i słowa Bułgarów, cieszących się niezmiernie z naszego gremjalnego przybycia do nich. Niestety, znalazło się wiele tych „ale", z których tylko niektóre wyliczę, — bo ich nazbierało się nad miarę.

* * *

Dom wypoczynkowy polski w Św. Konstantynie wybudowany i wyposażony kosztem blisko 400.000 zł. (150.000 zł. dał Rząd, a resztę Magistrat warszawski), dopiero w b. r. otworzył swoje podwoje dla przyjęcie polskich gości. Dom jest własnością Związku urzędników magistr. w Warszawie i przeznaczony właściwie dla członków tegoż Związku. Ponieważ jednak Związek ten nie ma tylu reflektantów z pośród członków swych, — by mogli oni zapełnić co miesiąc około 50 pokojów 2, 3, 4 i 6 osobowych, znajdujących się w tym gmachu, — przeto by nie stać się instytucją deficytową, zwrócił się Związek do Biura podróży „Orbis", by ten swoimi gośćmi, resztę pokojów zapełnił.

Tymczasem „Orbis" skwapliwie korzystając z nadarzonej sposobności, przyjął na lipiec i przywiózł do Konstantyna około 15 osób więcej, niż Związek mu wyznaczył w Domu wypoczynkowym. — Gdy się więc obie wycieczki, urządzone przez „Orbis" na lipiec, a prowadzone 2 szlakami (jedna przez Wiedeń — Budapeszt — Dunajem do Ruszczuku, a druga koleją wprost z Warszawy przez Lwów, Bukareszt, Giurgu-port, Ruszczuk) — zjechały się do Domu wypoczynkowego w St. Constantinie, — okazało się, że brak było miejsca na pomieszczenie wszystkich gości. Związkowcy zaczęli wywodzić, że to ich Dom, że oni już w Warszawie mieli poprzeznaczane pokoje i wogóle odgrywać wobec orbisowców role uprzywilejowanych (mimo znacznych ulg w opłatach) — a tymczasem orbisowcy, opłaciwszy w agencjach krajowych „Orbisu" dość znaczne, a wyższe opłaty za umieszczenie i wyżywienie w Domu wypoczynkowym, nie dali się zepchnąć na plan dalszy w rozmieszczeniu ich w pokojach. Powstały więc niesnaski, tarcia, kłótnie, skargi i wyrzekania, zatruwające spokój ogólny i harmonję. Piszący te notatki, był sam w ciągu 3 tygodni pobytu, 2 razy wysiedlany z zajmowanego pokoju i przenoszony gdzieindziej, co chyba bez irytowania się i silnego denerwowania się nie stało. Umieszczony wreszcie w sąsiednim gmachu funkcjonarjuszów kolei bułgarskich, gdy był zmuszony spać w jednym pokoju z 4 Bułgarami (konduktorami kolej.) — zrezygnował z dobrodziejstw „Orbisu" i przeniósł się do Warny, gdzie z łatwością znalazł wygodne umieszczenie w pryw. domu usłużnego Bułgara, bardzo blisko plaży, płacąc za piękny, frontowy, 2-osobowy pokój umeblowany 55 leva dziennie.

* * *

Ponadto stwierdzili niebawem wszyscy nowi przybysze, tak związkowcy, jak i orbisowcy, że zarząd domu polskiego chroma pod wielu, a wielu względami. Niestety, okazało się — co u nas w kraju stało się wprost chroniczną chorobą, „że niema ludzi na właściwem miejscu". Tak i tu — na obczyźnie, w domu wypoczynkowym panuje zupełna dezorganizacja, bezhołowie, bałagan. — Jednem słowem prawdziwa „polnische Wirtschaft". — Nie pomogły wiele interwencje kierowników wycieczki z centrali „Orbisu", — nie pomógł zaś zupełnie dyrektor Związku p. D., przybyły w charakterze gościa, który był za wygodny, ażeby się fatygować i poczynić odpowiednie zarządzenia i zmiany. Obserwowałem już nieraz życie w większych pensjonatach krajowych i wiem, że niełatwo gospodarzom wszystkim dogodzić. Ale takiego ogólnego niezadowolenia i narzekania na braki w pokojach co do prymitywnych urządzeń i sprzętów, oraz z powodu niewystarczającego jednostajnego i niesmacznie przyrządzonego pożywienia, — nie słyszałem nigdzie.

Może więc pod wpływem tych wspominań, gremjalnych skarg i zażaleń ustnych i pisemnych, na przyszłość coś się zmieni tu na lepsze, lecz w każdym razie goście, przybyli w lipcu do Domu wypoczynkowego polskiego pod Warną, zapłacili dobre „frycowe" i odniosą zatrute doznaniemi tu przykrościami — wrażenia z tego przepięknego zakątka Bułgarji, bliżej od Polski położonego, jak znane inne miejscowości n. p. w Jugosławji, Włoszech, Francji i t. d. — do których i jazda koleją jest dalsza i kosztowniejsza, no i pobyt na miejscu znacznie droższy, jak tutaj.

Naprawdę bowiem, aż żal zbiera gorzki każdego z przybyłych tu Polaków, którzy po kilkudniowych obserwacjach i przykrych doświadczeniach na własnej skórze, widzą, że wskutek dezorganizacji, nieudolności i lenistwa osobników, należących do zarządu domu wypoczynkowego, ludzie ci — zamiast przygotować dla rodaków tu przyjeżdżających z dalekiej Polski, mały, rozkoszny raj, — zgotowali im w lipcu — małe prawdziwe piekiełko, z którego wracają do siebie, do domu zniechęceni i z postanowieniem przestrzeżenia innych, chętnych do wyjazdu, aby byli ostrożniejsi co do wyboru miejsca pobytu tutaj w St. Constantinie.

* * *

Warna bowiem sama, — miasto piękne, nowocześnie urządzone (52.000 mieszkańców) — jest gotową na przyjęcie tysiąca przybyszów, mając do rozporządzenia bardzo wiele komfortowo urządzonych hoteli, pensjonatów i domów prywatnych, gdzie wygodnie i niedrogo każdy z łatwością znajdzie umieszczenie. Zależnie od oddalenia od plaży płaci się tu od 50—100 lewa dziennie (lewa = 6½ groszy polskich) za pokój umeblowany, a utrzymanie całe wypada na dzień jeszcze taniej. Życie więc tutaj w Bułgarji jest tanie, tańsze nawet, jak u nas w kraju w uzdrowiskach renomowanych.

Korzystając z bardzo dobrej autostrady, łączącej St. Constantin z Warną (9 klm.), oraz dogodnych, a częstych połączeń autobusowych, czyniliśmy częste wycieczki popołudniowe ze St. Constantina do Warny, aby tam zakupić, co każdemu było potrzeba, oraz zażyć przyjemności wielkomiastowych, jak np. dancingów, barów, kina, wielkich cukierni i kawiarni, — jeśli ktoś bez tych atrakcyj obejść się nie mógł. Tu bowiem na miejscu, w St. Constantinie, mamy także pięknie założony i utrzymany cienisty park, kawiarnię i restaurację, umieszczoną nad morzem, z dancingiem, a w parku urząd pocztowy, sklepy, fryzjernie, kramy z owocami i t. p. Bułgarzy, jak wspomniałem, niezmiernie życzliwie do nas, jak i innych słowiańskich gości się odnoszą, a porozumieć się z nimi w ich mowie każdemu łatwo, kto umie choć trochę po rusku lub rosyjsku. Skoro się zaś zważy, że naszych kochanych żydków nie widać tu wcale, że natomiast widzi się i słyszy naokół wielu rodaków, a jak nie, to Czechów, Jugosłowian, Węgrów, — to nie czuje się tu wcale człek obcym, lecz jakby między swoimi.

Bułgarzy z inteligencji miejscowej, chętnie wczynają z nami rozmowy, dopytują się o nasz kraj i stosunki, zwłaszcza obecnie wobec zbliżających się w początkach sierpnia b. r. zapowiedzianych uroczystości z okazji poświęcenia i otwarcia mauzoleum im. króla polskiego i węgierskiego Władysława III. Warneńczyka, który w r. 1444 padł w bitwie, stoczonej tuż pod Warną z wojskami sułtana Mahometa IV.

* * *

Dla zaspokojenia ciekawości tych, którzyby się zapytywali, dlaczego właśnie w St. Constantin wybudowano odpoczynkowy dom polski, wyjaśniam, że asumpt do tego dał przed kilku laty rząd bułgarski, który w podzięce za wysłanie przez Rzeczpospolitą Polską całego pociągu sanitarnego Czerw. Krzyża na pomoc w czasie wielkiej katastrofy, spowodowanej przed kilku laty trzęsieniem ziemi w okolicach miasta portowego Burgas, — podarował Rządowi polskiemu piękny kawał gruntu, położonego tuż nad morzem w St. Constantinie, gdzie właśnie potem wybudowano dom wypoczynkowy. Budowę tę wykonał p. Frandja, konsul honor. polski w Warnie, Bułgar, inżynier, który studja techniczne ukończył u nas we Lwowie i gdzie przyswoił sobie język polski.

Dom jest w konstrukcji dobrze obmyślany, wewnątrz celowo i nowocześnie urządzony, posiada przepiękną obszerną terasę z widokiem na szemrzące wiecznie u stóp budynku morze, obszerny hall, sale na czytelnię i bibljotekę, łazienki i tusze, a z boku umieszczone ubikacje kuchenne, magazyny i t. p. Sala jadalna w prawem skrzydle na dole umieszczona widna, obszerna, może służyć także do innych celów zabawowych lub zgromadzeń gości. Gmach cały otacza prześliczny mały ogród kwiatowy, z bogatą florą krajów południowych, bardzo artystycznie założony i starannie utrzymywany, a zasługą to jest ogrodnika królewskiego, p. Wodopjanowa, z pobliskiej rezydencji cara Borysa w Euxinogradzie. Za gmachem, umieszczone są piękne, sztuczne terasy, stanowiące bok zbocza góry.

Jednem słowem, — jak już wyżej wspomniałem — Polska może się poszczycić posiadaniem tak pięknego domu wypoczynkowego, w którym rodacy przybyli z kraju czuliby się jak w raju, gdyby zgóry wszystko było obmyślane z planem i rozsądnie i gdyby na miejscu były gospodarzami osoby umiejące rządzić i prowadzić fachowo tego rodzaju duże przedsiębiorstwo hotelowo-pensjonarskie. Tymczasem, niestety — stało się wszystko naodwrót.

Do mego luźnego opisu dodam, że cały St. Constantin, to miejscowość, gdzie na stoczach pagórków lesistych Bułgarja wybudowała w ostatnich czasach szereg gmachów nowoczesnych, które stanowią własność rozmaitych stowarzyszeń i związków, np. kolejarzy, oficerów, urzędników bankowych i t. p., które wysyłają tu do swych domów wypoczynkowych lub sanatorjów — swoich członków lub funkcjonarjuszów. Przedewszystkiem pomyślała Bułgarja o swej dorastającej młodzieży, dla której wzniosła tutaj na swej „bułgarskiej Riwierze" — kilkanaście większych lub mniejszych nowoczesnych budowli, w których umieszczone są kolonje letnie chłopców i dziewcząt, liczące setki dziatwy. To też obszerna i długa plaża roi się od młodzieży obojga płci, która trzymana jest w rygorze (u nas nieobserwowanym) przez nauczycieli i nauczycielki — zapełnia wesołym gwarem i pieśniami, specjalne przestrzenie na plaży, osobno ogrodzone i oddzielone od publiczności zażywającej wody i słońca na gorącym piasku nadbrzeżnym. Dom nasz posiada na plaży także własne prysznice z zimną wodą wodociągową aby goście mieli możność po plażowaniu spłukać piasek i drobny osad soli morskiej.

* * *

Dla uzupełnienia opisu krajobrazu nadmorskiego w św. Konstantynie, wypada mi dodać, że tuż obok, również nad piękną sąsiednią zatoką i plażą, znajduje się letnia, prywatna rezydencja cara Borysa w Euxinogradzie. Mały, lecz piękny pałacyk, wzniesiony na pagórku nad morzem i nad własną małą zatoką i plażą — otacza bardzo obszerny ogród cienisty przechodzący dalej w niskopienny las ciągnący się na południe i północ wzdłuż wybrzeża morskiego. W tym pałacyku spędza władca Bułgarji wraz z rodziną swą lato co roku, a daje się często widzieć publiczności we Warnie, oraz podczas swych spacerów autem lub motorówką.

Kończąc te luźne notatki, zaznaczam z naciskiem, że intencją umieszczenia mej korespondencji w prasie polskiej, nie było — jakby niejeden sądził — poszukanie w tej drodze satysfakcji za doznane przykrości, lecz jedynie i wyłącznie zwrócenie uwagi i poinformowanie szczere rodaków, wybierających się jeszcze tego roku lub na przyszłość w strony Warny, jakie przyjemności, ale też i przykrości, czekają ich w razie wyjazdu z wycieczką prowadzoną przez „Orbis" do domu polskiego w St. Constantinie.

Jakie rodzaje broni odegrają główną rolę w przyszłej wojnie?

Mamy do czynienia ostatnio ze wzrostem ilościowym literatury wojskowej. Bezpośrednio po wojnie światowej również piśmiennictwo wojskowe było bardzo obfite. Ale *obecnie pojawiająca się literatura ma inny charakter od ówczesnej.*

Wtedy na czele szły *pamiętniki*, dotyczące ubiegłej wojny. Ona tj. wielka wojna-światowa absorbowała zupełnie umysły, wyświetlenie jej przebiegu, przyczyn poszczególnych zwycięstw i klęsk, stanowiło coś zainteresowania.

Jednem słowem wzrok i uwaga były zwrócone w przeszłość, a nie w przyszłość. Jeśli zaś i pojawiło się jakieś dzieło, czy jakaś rozprawa, traktująca o przyszłej wojnie, to miały one charakter *mało konkretny i konstruktywny*. Składała się bowiem na nie dziwna mieszanina *zbyt niewolniczo ujętych reminiscencyj minionej wojny* i równocześnie *zbyt dowolnych, zbyt fantastycznych kombinacyj na temat wojny przyszłej.*

Było to psychologicznie zrozumiałe: wojna światowa była potężnem zjawiskiem, niezwykle silnem w swej plastyczności, aby można się było od niej za świeżo oderwać. Wojna przyszła była czemś odległem, co nie zniewalało wyobraźni do snucia możliwie ścisłych, uzasadnionych stanem techniki projekcyj i obrazów. W rezultacie literatura okresu, który bezpośrednio nastąpił po wojnie ma dość względną wartość. Jej fantazje przyszłościowe są nic nie warte, jej zaś przedstawienia wojny światowej są znów często zabarwione subjektywnie, gdyż autorzy odnośnych rozpraw wojskowych byli niedawno jeszcze autorami tych dzieł, o których w rozprawach następnie traktowali.

Inny charakter mają rozprawy, broszurki, dzieła i artykuły pojawiające się teraz. Zagadkę przyszłej wojny starają się one zgłębić zupełnie konkretnie. Cechą ich zasadniczą jest przewijające się przez nie choć nie wypowiedziane przekonanie, że jesteśmy bardziej bliżsi przyszłej wojny, niż odlegli od wojny ostatniej.

Oczywiście literatura odnośna potrzebuje *dla snucia wniosków co do przyszłej wojny pewnego oparcia o rzeczywistość.* Jeśli dojdzie do wojny włosko - abisyńskiej, to ona stanie się takiem oparciem dla pisarzy wojskowych, takiem polem doświadczalnem dla wytworzenia właściwych kryterjów oceny skuteczności poszczególnych zdobyczy technicznych w przyszłej wielkiej wojnie, tymczasem zaś źródłem obserwacyj jest *ostatnia wojna w Ameryce południowej między Boliwją i Paragwajem* o słynne Gran Chaco.

Szeroka opinja publiczna w Europie nie wie, że *mało się tu do czynienia z prawdziwą wojną, w najbardziej nowoczesnym stylu.* To, że ta wojna była traktowana z małem zainteresowaniem przez prasę i opinję światową nie umniejsza w niczem jej walorów wojskowych. W konsekwencji nauki z niej płynące, jak stwierdzają kompetentni pisarze wojskowi, mają miarodajne znaczenie.

Ponieważ dziś najwięcej o przyszłej wojnie myśli się w Niemczech, to też tam literatura wojskowa dotycząca ostatniej wojny w południowej Ameryce jest najobfitsza. Zatrzymamy się na obserwacjach niemieckiego pisma wojskowego „Militaer Wochenblatt", które w szeregu artykułów starało się zebrać doświadczenia, jakie wymieniona wojna przyniosła. A więc:

Przedewszystkiem zdał znów świetny egzamin *karabin maszynowy*. Zwłaszcza ręczny karabin maszynowy wykazał, że jest cudowną (dla jego posiadacza, a nie dla przeciwnika) niezastąpioną bronią.

Również *miotacze bomb systemu Stokes - Brendt 81 m/m. dawały znakomite rezultaty.* Nośność ich pocisków wynosiła 3.000 metrów, skuteczność była świetna, a mała obsługa z 3 ludzi złożona dawała im przewagę nad armatami polowemi. Natomiast miotacze bomb kalibru mniejszego 47 m/m i 65 m/m okazały się bezużyteczne. Ich nośność była niewystarczająca, a na przestrzeni krótszej panował karabin maszynowy, który był wyłącznym panem sytuacji.

W związku też z tem okazało się, że artylerja nie powinna posiadać dział mniejszych od kalibru 105, wyjątek stanowić mogą mniejsze działa przeciwczołgowe.

Co zaś dotyczy *czołgów*, to małe czołgi i wogóle wszelkiego rodzaju tankietki okazały się bez wartości. Natomiast czołgi średnie zdały egzamin.

Co do *gazów*, to ponieważ dla obu stron z powodu tropikalnych upałów było niemożliwem noszenie przez żołnierzy przez dłuższy czas masek, to obie strony zrezygnowały z tego stopnia walki.

Co do *taktyki*, to jednakże defensywa miała wyższość nad ofensywą, chociaż zaskoczenie miało swoje zastosowanie.

Wreszcie obserwacja bardzo ważna na temat czy armja mała, czy duża, wypadła, iż *armja masowa ma przewagę*, a przemawia na jej rzecz ta okoliczność, że nauczenie się posługiwania bronią nowoczesną, nie wymaga wiele czasu. Szczególnie łatwem jest kierowanie ręcznym karabinem maszynowym.

Niemniej przeto, armja masowa winna być dobrze szkolona w czasie pokoju, bo inaczej ponosi zbyt wielkie straty w wojnie.

W.

Prądy morskie i ich geneza

Kwestja prądów morskich jest w nauce oddawna dyskutowaną i daleką dotychczas od zadowalniającego, definitywnego wyjaśnienia. Wiadomo nam, że istnieją prądy głębsze i prądy powierzchowne, — prądy lokalne i prądy wielkie, przecinające całe oceany.

Wśród tych ostatnich pierwsze, naczelne miejsce zajmuje Golf-strom, ów potężny ciepły prąd, który — wychodząc z zatoki meksykańskiej — opływa brzegi zachodnie Europy.

Dotychczas teorja Golfstromu i jego wpływu na klimat europejski uchodziła w oceanografji za niewzruszony dogmat. Teorja ta jednak znalazła niedawno przeciwnika w osobie dra Edwarda Le Danois, młodego francuskiego uczonego, znanego ze swych prac i badań oceanograficznych.

Opierając się na obserwacjach, porobionych w czasie swych podróży morskich, — utrzymuje Le Danois, że tzw. Golfstrom nie dochodzi wogóle do wybrzeży Europy, a nawet nie dosięga Wysp Azorskich.

Wszystkie zaś fenomeny klimatyczne na zachodnich wybrzeżach Europy mają zupełnie w czem innem swe źródło: polegają one mianowicie na tzw. „transgresji".

Aby zrozumieć istotę tego zjawiska musimy przedewszystkiem ustalić podział wszystkich wód, morskich na dwie odrębne grupy, różniące się między sobą zarówno pod względem fizycznym (temperatura wody), jak i chemicznym (stopień zasolenia).

Do pierwszej grupy zalicza Le Danois wody „polarne", dzielące się na: arktyczne, antarktyczne, głębinowe i kontynentalne. Do drugiej — wody „tropikalne", dzielące się znów na: równikowe (o zasoleniu ponad 3.55 procent) oraz atlantyckie (o zasoleniu nie przekraczającem 3.5 proc.).

Otóż cała teorja skonstruowana przez uczonego francuskiego opiera się na fundamentalnej zasadzie, że wody morskie o różnej temperaturze i różnem zasoleniu niemieszają się ze sobą, o ile występują w wielkich masach. Na granicy zetknięcia się tych wód (które poraz pierwszy nastąpiło w epoce eocenu) następuje nieustanne tarcie, wywołujące prądy morskie, — ale obie masy tych wód zachowują w całości swój pierwotny charakter.

Wychodząc z tego założenia można określić cały Atlantyk jako jedną olbrzymią misę, napełnioną wodą „polarną", w której dokonuje się periodycznie zjawisko, nazwane transgresją. Istota tego zjawiska polega na tem, że co pewien czas wody „tropikalne" wdzierają się na powierzchnię cięższych wód „polarnych", odznaczających się pozatem większą lepkością, a więc w masie nie zmieniających swego miejsca.

Teorja ta rzuca nowe światło na skomplikowane, a niewyjaśnione dotych czas definitywnie zjawisko przypływu i odpływu morza, stojące zresztą niewątpliwie w związku z działaniem siły przyciągającej księżyca i słońca.

Ma jednak ta teorja i duże praktyczne znaczenie, o ile idzie o rybołóstwo morskie. Ryby, stanowiące przedmiot połowu, dzielą się zasadniczo biologicznie na dwie grupy: ryby wód „polarnych" oraz ryby wód „tropikalnych". Pojawianie się ich zatem raz w tem, raz w innem miejscu i w rozmaitej głębokości stoi w ścisłym związku ze zjawiskiem transgresji.

Znajomość dokładna tych zjawisk i ich perjodyczności pozwoli więc na zorganizowanie całego rybołóstwa na ściśle naukowych podstawach, otwierając przed niem szerokie perspektywy. Tak np. stwierdzonem zostało, że tuńczyk żyje w wodzie, której ciepłota przekracza +14° i to na głębokości 40 metrów. Wędrówki jego uzależnione są ściśle od zjawiska transgresji: w maju spotyka go się w pobliżu wybrzeży Portugalji; od czerwca do sierpnia w zatoce Gaskońskiej, we wrześniu wędruje aż do południowych wybrzeży Irlandji, skąd płynie ku wybrzeżom Brazylji.

Tak więc znowu nauka ścisła, nie mająca na pozór żadnego związku z życiem praktycznem, staje na usługi ludzkości.

Walka z pudrem i szminką w Chinach

Dyktator chiński Czang - Kai -Czeg podjął ostrą walkę przeciw „europeizacji" kobiet chińskich, naśladujących ślepo modę europejską.

Po szeregu apelów do patrjotycznych sumień kobiet chińskich, by porzuciły strój europejski i europejski sposób zachowania, dyktator Chin wydał ostre zarządzenia, starając się drogą represyj odzwyczaić kobiety chińskie od naśladowania swoich europejskich siostrzyc.

Kobietom chińskim nie wolno zatem palić papierosów w publicznych miejscach; przekroczenie tego nakazu grozi karą aresztu bez względu na pozycję socjalną aresztowanej. Wśród bogatych kobiet chińskich, które od niedawna dopiero zdobyły sobie prawo wstępu do miejsc publicznych, zawrzało. A tymczasem wyszedł zakaz używania pudru, szminki i ondulowania włosów.

Ostatnie zarządzenie dyktatora mówi, że Chińczycy przez tysiące lat mieli gładkie włosy i niema żadnego powodu dla którego mianoby zmienić tę naturalną gładkość chińskich włosów. Na podstawie tego zarządzenia policja we wszystkich miastach chińskich konfiskuje w zakładach fryzjerskich i instytutach piękności aparaty do ondulacji, inne narzędzia, oraz artykuły kosmetyczne.



Młody Chińczyk na ulicach Szanghaju.

ŚWIAT KOBIECY

Płoteczki o modzie

— Zamknięta niedawno wspaniała wystawa mistrzów malarstwa włoskiego w Paryżu dała asumpt do nowej mody: oryginalnych beretów weneckich jakby skopjowanych ze starych płócien. Beret taki jest znacznie wyższy i obfitszy, wykazując tendencję wznoszenia się ku górze.

Pozatem — olbrzymie jasne słomkowe kapelusze, suto przybrane kwiatami i wstążkami, — w stylu włoskiego renesansu.

— Wstążki wogóle są, na równi z kwiatami, faworytem mody letniej. Zdobią one nasze suknie, w postaci szarf i kokard. Nawet do letnich wyciętych pantofelków przypina się chętnie kokardki ze wstążek.

— Sztuczne kwiaty z wełnianej włóczki są bardzo miłem i modnem przybraniem każdej, najskromniejszej nawet sukienki.

— Do jasnej spódniczki nosi się zawsze jeszcze bluzki w ciemniejszym odcieniu. Bluzka o dowolnym kroju i z dowolnego materjału, byleby kolor i materjał harmonizował z całością. Im skromniejsza, im mniej na niej ozdób, tem ładniej wygląda. Jedyne dopuszczalne przybranie, to żabocik z organdi, batystu lub piki. Z deseni najodpowiedniejsze kratki lub groszki, — fantastyczne wzory i imprimé nadają się tylko na całe kostjumy.

— Ostatnią nowością są torebki sporządzone z tego samego materjału co bluzka.

— Bardzo efektownie prezentują się płaszcze wieczorowe, zrobione z tiulu, a obramowane kilkoma lisami. Zestawienie kotrastowe, ogromnie modne w Paryżu.

— Dużem powodzeniem cieszą się materjały, dające się nosić na obie strony. Z materjałów takich robi się sukienki, pelerynki i narzutki wykończone w ten sposób, że można je nosić na jedną i na drugą stronę, dzięki czemu wnosimy duże urozmaicenie w naszą garderobę letnią.

— Niewyczerpana w pomysłach moda sięga obecnie do świata zwierzęcego. I to do najgrubszych jego przedstawicieli: słonia i bawoła! Z rogów i kopyt bawoła robi się bransoletki, — z odpowiednio wyprawionej skóry słonia wycina się małe kostki, z których robi się bransoletki i nawet naszyjniki.

— Kolorowe pończochy, których modę sygnalizowaliśmy niedawno, stają się coraz popularniejsze. Nosi się je przedpołudniem, do sportowych pantofelków, a z wyglądu podobne są one do męskich pończoch sportowych. Materjał — cieniutka wełna, tkana w prążki.

— Ze sztucznych kwiatów najmodniejszemi są obecnie kamelje i lewkonje Zasadniczo kwiaty do jasnej sukni są ciemne, do ciemnej — jasne, w żywych kolorach.

— Przy wieczorowych sukniach „stylowych" pantofelek ma obcas prosty, wysoki i cienki. Przy sukniach spacerowych, z lekkich wzorzystych materjałów, obcasy u pantofelków znacznie niższe. Z suknią wzorowaną na klasycznej greckiej tunice harmonizuje tylko zgrabny sandałek.



Woda i owoce

Czy można pić wodę po spożyciu większej ilości owoców? Wedle ogólnie utartej zasady — nie!

Natomiast zdaniem lekarzy wypicie niewielkiej ilości wody nie przynosi żadnej szkody, przy normalnej konsumcji owoców.

Szkodliwe następstwa powstają dopiero w razie przebrania miary w jednym lub drugim kierunku. Jak bowiem wykazały doświadczenia laboratoryjne, owoce świeże pod działaniem wody silnie pęcznieją (dotyczy to zwłaszcza czereśni i malin), co pociąga za sobą rozdęcie żołądka, napady kolki i boleści

Najmniej stosunkowo pęcznieją jabłka, które przybierają zaledwie 10—20 procent objętości.

Stąd wniosek, że po spożyciu większej ilości owoców czy jagód należy zachować ostrożność i umiarkowanie w piciu wody, aby uniknąć niemiłych następstw, mogących stać się niekiedy nawet przyczyną rozmaitych dolegliwości i chorób przewodu pokarmowego.

O praniu bielizny

Dzisiejsza bielizna zbyt jest kosztowną, aby można pranie jej powierzyć, choćby najlepszej służącej czy zawodowej praczce. Najlepiej i najbezpieczniej wyprać ją własnoręcznie, co nie przedstawia żadnych trudności. Trzeba tylko wiedzieć, jak się zabrać do tego.

Najlepsze jest mydło w płatkach, które po rozgotowaniu ostudzamy do temperatury letniej. Po ubiciu obfitej piany wsadzamy do tego roztworu bieliznę, — naturalnie osobno białą, a osobno kolorową.

Bielizny jedwabnej nie wolno trzeć, trzeba ją tylko dobrze wygnieść, a potem przepłukać w letniej wodzie, — zmieniając ją parokrotnie, aż pozostanie zupełnie czysta.

Do ostatniej wody dobrze jest dodać odrobinę octu, albo spirytusu i ałunu.

Następnie, nie wyżymając, lecz tylko po lekkiem wyciśnieniu, wiesza się, zdaleka od pieca, aby pomału wyschła.

Prasować niezbyt gorącem żelazkiem, nie bezpośrednio, lecz przez cienkie suche płótno, ewentualnie przez papier jedwabny.

Bielizny trykotowej, podobnie jak i wyrobów włóczkowych, nie należy nigdy wieszać po wypraniu, gdyż wyciąga się i traci zupełnie fason.

Kładziemy ją poprostu na białem prześcieradle; w ten sposób wyschnie doskonale.

Jeżeli już koniecznie chcemy ją prasować, trzeba zrobić to przez lekko wilgotny cienki ręcznik, i to nie suwając żelazkiem, tylko lekko kolejno przyciskając.

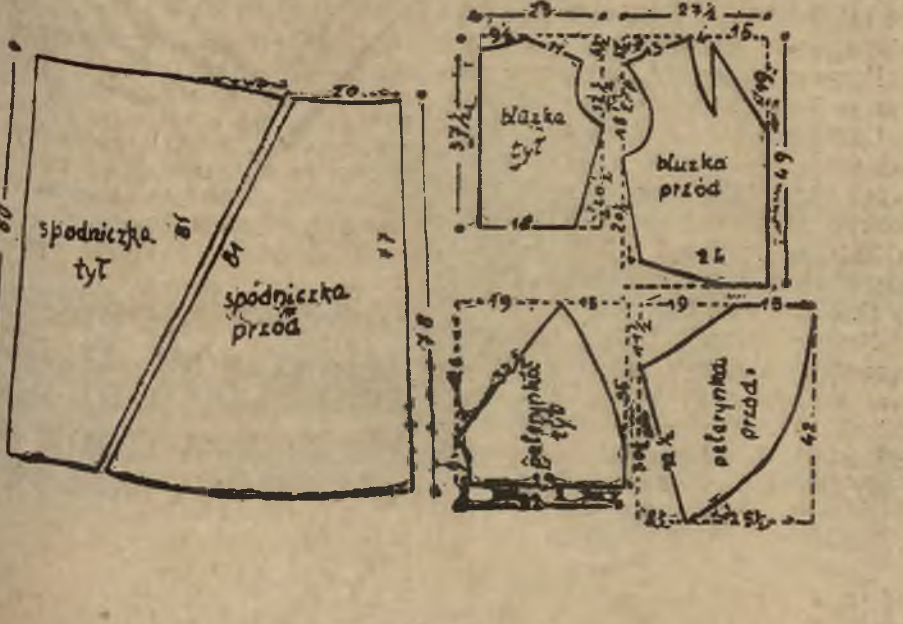
Suknia plażowa

Sukienka taka, mocno wycięta na plecach, jest niemal niezbędna w kąpielach morskich.

Dzięki krótkiej pelerynie można ją jednak nosić i na spacery popołudniowe

Na całość potrzeba 3 i pół mtr. materjału szerokości 90 ctm.

Staniczek można ewentualnie skrocić bez pleców, przyszywając w to miejsce szeleczki, długości 78 ctm., o szerokości 5 ctm.





NARODOWY KONGRES ZWIĄZKU MATEK KATOLICKICH W ANGLJI

Na pierwszym narodowym kongresie związku matek katolickich, który odbył się niedawno przy udziale pięciu tysięcy kobiet w Londynie, przemawiali m. in. arcybiskupi: ks. dr. Downey z Liverpoolu i ks. dr. Willams z Birminghamu.

Arcybiskup Downey zaznaczył, że losy ludzkości zależą od użytku, jaki kobieta zrobi ze swej uzyskanej wolności. Jeżeli pomiesza ona wolność ze swawolą, to rozkład cywilizacji europejskiej stanie się nieunikniony. Arcybiskup Williams w przemówieniu swem podkreślił, że nie wszystkie rodzaje pracy, odpowiednie dla mężczyzn, nadają się dla kobiet i wystąpił przeciwko pracy kobiet w fabrykach.

Poradnik dla gospesi

LEGUMINA Z GRUSZEK Z KREMEM

Okrągłe gruszki kompotowe obrać ze skórki, w czasie obierania rzucać w wodę zakwaszoną sokiem cytrynowym. Obgotować w wodzie, osączyć, dogotować na pół miękko w lekkim syropie z wanilją. Wystudzone i osączone z syropu gruszki podciąć od spodu tak, aby dały się ustawić do góry wydrążonemi wierzchami. Uformować z nich na ozdobnym okrągłym półmisku wieniec, postawić na lodzie, żeby doskonale wyziębły. Na wydaniu nałożyć w każdą gruszkę stosik bitej śmietanki, kładąc pośrodku osączoną z syropu smażoną malinę. Środek półmiska wypełnić bitą śmietanką z cukrem i wanilją.

GRUSZKI W OCCIE

Najodpowiedniejsze do marynowania są gruszki bergamoty, albo muszkatułki. Wybierać trzeba gruszki niezbyt dojrzałe, ale już całkowicie wykształcone. Obrać cieniutko ze skórki, wydrążyć środki okrągłą, specjalną łyżeczką, rzucać gruszki do obfitej zimnej wody zakwaszonej sokiem, albo kwaskiem cytrynowym, inaczej zmieniają kolor. Tak przygotowane gruszki gotować chwilę w wodzie, gdy lekko zmiękną, wyjąć na sito i doskonale osączyć z wody.

Na każdy kilogram gruszek przygotować syrop z 2 szklanek wody, 1 szklanki wyborowego octu do marynat i 50 dkg cukru kryształu. Syrop zagotować, wyszumować, rzucić w niego gruszki, zagotować kilka razy, wylać na porcelanową, albo fajansową salaterkę. Pozostawić tak do drugiego dnia. Na drugi dzień zlać syrop, jeszcze raz zagotować, zalać wrzącym gruszki, a gdy wystygną, składać w słoje i przechowywać owiązane pęcherzem.

DOBRY TORT

10 żółtek, 25 deka cukru pudru, 25 deka migdałów, 8 białek, 1/16 litra tartej bułki. Masa: 25 deka orzechów laskowych (łupanych), 25 deka cukru pudru, jedna ósma litra kwaśnej śmietany, wanilji. Lukier: 30 deka cukru, 1 cytryna.

Żółtka utrzeć z cukrem do białości i wymieszać lekko z pianą, dosypując bułkę tartą i migdały (obrane z łupiny i mielone). Masę tę podzielić na 3 części i upiec osobno każda w tortownicy, wyłożonej na brzegach papierem. — Masa: orzechy laskowe zrumienić w piecu, obetrzeć ścierką z łupki i zemleć na maszynce. Wymieszać je z cukrem wanilijowym, wlać śmietanę, utrzeć wałkiem w ostrej donicy na jednolitą masę. Następnie przełożyć placki i tort oblukrować lukrem cytrynowym.

Z wydawnictw

„Bluszcz" nr. 28 z dnia 13 lipca przynosi żywo i barwnie pisane impresje St. Podhorskiej ze Zlotu Harcerskiego w Spale z ciekawemi ilustracjami. Doskonały jest reportaż M. Lipkowskiej z chińskiej dzielnicy w San Francisco p. t. „China Town". M. Kasterska dzieli się z czytelniczkami wrażeniami z Portugalji.

Pozatem zwykłe, doskonale prowadzone rubryki „Ogrodnictwo i hodowla" „Dom i gospodarstwo" oraz „Mody" i aktualne przepisy kulinarne.

W dziale „Prawo na codzień" omówiona jest kwestja wystawiania świadectw dla służby domowej, rzecz zawsze aktualna, a sprawiająca nieraz sporo kłopotów młodej gosposi.

Numer uzupełniają: recenzje z teatrów i aktualja kobiece.

—o—

„Lwowska Fala" w nie - lwowskiem zwierciadle

„Przyzwyczailiśmy się we Lwowie do „Wesołej Fali". Co niedzieli zasiadamy przy głośniku i słuchamy. „Wesoła Fala" stała się jednym z punktów naszego programu dnia niedzielnego, tak — jak spacer, wizyta, kawiarnia, czy kino. Na spacerze chcemy zobaczyć dużo zieleni, kwiatów, wygrzać się w słońcu, na wizycie u krewnych poplotkować o bliższych i dalszych członkach rodziny, w kawiarni przeglądnąć ilustracje i posłuchać trochę ciekawych historyj od znajomych o znajomych, w kinie — nieco się wzruszyć, a przy głośniku o godz. 9:30 czekamy na porcję dowcipów, piosenek, kawałów i samonośców. Porcję tę dostajemy regularnie co tydzień. Śmiejemy się przez pół godziny, idziemy spać — i wszystko w porządku.

Przyzwyczailiśmy się do naszej stałej dostawczyni humoru. Do wszystkiego się z czasem przyzwyczajamy, wszystko nam powszednieje. „Dobre z niej kobiecisko" — powiadamy sobie — patrząc na żonę po kilku latach małżeństwa. A że to niezłe dobre kobiecisko, ale i niczego sobie kobieta o tem przypomina nam zazwyczaj ktoś obcy, gdy spojrzy na nią tak, jak my za jej panieńskich lat.

Spójrzmy i na naszą Falę obcemi oczami. Co o niej sądzą nie - lwowianie? Przerzućmy na chybił trafił kartki kilku numerów warszawskiej „Anteny".

„Już parę razy zaznaczaliśmy — stwierdza „Antena" — jak bardzo trudno jest zmontować dla mikrofonu audycję, poświęconą humorowi, na jakie olbrzymie trudności natyka się każdy, kto się tem zagadnieniem zajmuje... Można z całą pewnością stwierdzić, że dobra audycja wesoła, to najtrudniejszy punkt w programach radjowych".

„Humor, humor! — mówi kierownik literacki centrali radjowej W. Hulewicz w wywiadzie ze współpracownikiem tego pisma. — Pan wie, jakich trosk radju od lat przysparza ta dziedzina, w której na sto rzeczy czterdzieści jest zakazanych, czterdzieści nieradjofonicznych, a z pozostałych dwudziestu połowa wątpliwych. Od takiej troski bieleje włos".

„Humor w radju wogóle, a w radjostacji warszawskiej w szczególności — piszą obecni kierownicy warszawskiej „Wesołej Syreny" (następczyni „Loży Szyderców"), S. Karpiński i J. Minkiewicz — nie znalazł jeszcze rozwiązania. Tak nasi poprzednicy, jak i my jesteśmy w fazie poszukiwań takiej formy podawania humoru, któraby się okazała dla radja najbardziej właściwa i tylko dla radja charakterystyczna. Zazdrościmy „Wesołej Lwowskiej Fali", która — zdaje się — znalazła taką formę i zdołała wywalczyć sobie odrębny styl".

Jeden z organizatorów wesołej poznańskiej audycji „Wielkopolska w przeboju", Tadeusz Maskowski, tak pisze o trudnych jej początkach: „Ambicją każdej rozgłośni jest mieć własny zespół i własną audycję regjonalną w programie ogólno - polskim. „Wesoła Lwowska Fala", której bodaj najlepiej udało się te ambicje zrealizować, jest bodźcem dla innych, a zarazem niedościgniętym ideałem. Chodzi bowiem o to, aby zorganizować audycję tak atrakcyjną, dowcipną i urozmaiconą, jak „Wesoła Fala", a jednocześnie ustrzec się od kopjowania Lwowa, dając coś własnego i innego... Próby skompletowania pary w rodzaju Szczepka i Tońka w otoczeniu poznańskim zawiodły. Przeszło rok temu rozgłośnia poznańska wystąpiła z audycją regjonalną, złożoną z części poważnej i wesołej. W tej właśnie wesołej części próbowano stworzyć reprezentacyjną rodzinę poznańską Kosmalów. „Audycja regjonalna" po czterech występach zamilkła. Kierownictwo programowe postanowiło wobec tego zacząć od początku. Od września z. r. wprowadzono miesięczną 20-minutową audycję w zasięgu lokalnym, rezygnując narazie z aspiracyi do występu w programie ogólnopolskim. Chodziło o to, aby dobry tekst dobrze wykonać, nie wchodząc już w sprawę..., czy to już jest takie, jak „Wesoła Fala", czy jeszcze nie... Po czterech występach jakoś się spłókało na dowcipie i pomysłach".

A nasza „Wesoła Fala" występuje tydzień za tygodniem już trzeci rok. O jednej z ostatnich, setnej którejś „Fali" tak pisze recenzent warszawski: „Fala Lwowska" znów wykazała się swą niezniszczalną żywotnością i humorem... Sceny zbiorowe reżyserowane są z prawdziwą maestrją, nie brak tam najmniejszych nawet akcentów, które w sumie zadziwiają swą precyzją, swym kapitalnym realizmem i przeźroczystością kompozycji".

Dobrze jest czasem spojrzeć na rzeczy znane i zbyt bliskie cudzemi oczyma.

„A ja ci mówię, że - tak!"

„A ja ci mówię, że tak!" — jak powiada Stary Doktór. Tak, napewno tak. Można lubieć, można nawet bardzo polubić tych, których nie znamy — tak mówiąc — osobiście. Można, a nawet musi się lubieć tych, którzy miłym swym głosem przychodzą do nas, zaryzykowałabym powiedzenie „przez ucho do serca". Wszystkie dzieci słuchające stałych pogadanek Starego Doktora widzą w nim kogoś tak bliskiego, że chętnieby wyciągnąwszy do niego obie rączki, wołały: kochany nasz wujek.

Ale nietylko dzieci. Te miłe pogadanki, doskonale dostosowane do umysłowości dziecięcej, słuchane są również i przez starszych. Mają w sobie bowiem urok groteski, podmalowane głębszemi tonami serdecznego uczucia. Znam ludzi dorosłych, intensywnie pracujących umysłowo, którzy przyznali mi się, że niemal ani jednej audycji Starego Doktora nie opuścili. I po sformułowaniu ich charakterystyki, pokrywającej się mniej więcej z tem, co wyżej napisałam, dodawali z najgłębszem przekonaniem, że ten typ audycji udał się naprawdę.

I to jest szczera prawda. Audycja ta, operująca w założeniu swem miłym tonem głosu sympatycznego pana, przerywanym jedynie słowami zrzadka odzywającego się chłopaczka, ujmuje swą prostotą i bezpośredniością. — A tematy? O wszystkiem się tam mówi. O tem, jak ugotować jajecznicę, i o Niebieskim Kapturku, o bohaterze, o wspomnieniach z Ogrodu Zoologicznego i — ostatnio — o samolotach dla dzieci. Wiele, bardzo wiele ciekawych tematów. Ale nie o tematy mi chodzi, lecz raczej o to niezmiernie miłe i serdeczne, a proste podejście do nich Starego Doktora, którego zresztą zupełnie nie znamy, nawet z nazwiska. Jest to bowiem postać silnie zakonspirowana, a zpoza swego pseudonimu ukazująca nam jedynie — głos i niektóre myśli. Lecz przyznać trzeba, że ktokolwiek tam kryje się pod tym tytułem, to chociaż drobną część swej osobowości ukazuje, dokonuje jednej bardzo zasadniczej rzeczy, która wielu współczesnym pisarzom usilnie się o to starającym nie zawsze się udaje, a mianowicie by być dla czytelników czy słuchaczy sympatycznym. To w całej pełni udaje się naszemu Staremu Doktorowi.

* * *

Każde pożegnanie ma smak przestrzeni, oddali i górujący nad niem jakiś kolor. Jedno jest czerwone, buchające miłością i tęsknotą, inne znów czarne, zatrute rozpaczą i zwątpieniem. A są i inne pożegnania, o barwach pastelowych, delikatnych i subtelnych, jak skrzydła motyla. Cechy takie miała pożegnalna audycja dyr. Bohdana Pawłowicza: recytacje jego wierszy. Ale właściwie tylko część pierwsza błękitniała, złociła się i różowiła, część, w której mieścił się uroczny swym ukrytym nurtem wiersz „Przyleciały serdeczne tęsknoty". Część druga, to wiersze z czasów wojny, wiejące grozą krwi, strachu i męki, wiersze prostotą swą i wyrazem zapadające głęboko w świadomość, jak np. „Krzyż przydrożny". Piękno tych utworów, wybitnie uwypuklone wyrazistą deklamacją Janiny Martini i ich autora, zamknęło więc współpracę dyr. Pawłowicza z rozgłośnią lwowską, pożegnanie naprawdę niebanalne.

* * *

Poranna audycja „Dokąd jedziemy" sprawiła prawdziwą niespodziankę słuchaczom, przyzwyczajonym do płyt nadawanych rano w dość luźnym ze sobą związku. Tym razem płyty zestawione z głęboką kulturą muzyczną i niezawodnym smakiem, przeplatane conferencierką przemiłej lwowskiej speakerki Celiny Nahlik, stanowiły całość tak zgrabną, zwartą i ścisłą, że nicby tam nie można ująć ni dodać. Audycji tej słuchaliśmy z przyjemnością. — A i koncert „Hejnału", lwowskiego koła mandolinistów pod dyr. Adama Eplera, to audycja chętnie i mile widziana, czy raczej słuchana przez radjosłuchaczy. Łagodne dźwięki polskich pieśni wygrywanych na mandolinach, przynoszą nie tylko wypoczynek, ale również i wielkie zadowolenie, w czasach jazzu i murzyńskich śpiewek.

Sztuka sceniczna „Fräulein Doctor" J. Tepy, nazwana słusznie faktomontażem, która z dużem powodzeniem grana była na kilku scenach, została zaprodukowana również i radjosłuchaczom, jako półgodzinne słuchowisko. I z tego też jedynie punktu pragną wypowiedzieć parę nasuwających się uwag. Trzy sceny, które nam zaprezentowano, w dużej mierze odznaczały się siłą napięcia dramatycznego; piękna gra artystów oczywiście wybitnie na to wpływała. Uważam natomiast za zupełnie zbyteczne zaopatrywanie słuchowiska w przemowę czy przedmowę samego autora. Autor wypowiada się w samem dziele. Przedmowa dobra jest do dzieł naukowych; dzieła sztuki wyjątkowo tylko potrzebują objaśnień czy tłumaczeń autora. Pojawiające się obecnie coraz częstsze odstępstwa od tej zasady, świadczą jedynie o rozpowszechniającem się, niezrozumiałem i niepotrzebnem w swej istocie naśladowaniu innej dziedziny twórczości. Wracając do radjowej „Fräulein Doctor" zaznaczam, iż samo słuchowisko było zupełnie udatne.

IRENA NAŁĘCZ.

Uczmy się krótkich fal

Co to są krótkie fale? Wiemy wszyscy, że istnieją różne rodzaje fal: długie, powyżej 800 metrów, krótkie, popularnie tak nazywane, a właściwie średnie, od 800 do 8 metrów i wreszcie ultrakrótkie, poniżej 8-miu metrów, nie mówiąc już o mikrofalach, które są obecnie w fazie studjów.

Krótkie fale przedstawiają w zasadzie bardzo szeroki zakres możliwości, na przestrzeni 1 metra różnicy możnaby umieścić w nich około 140 stacyj, z uwzględnieniem wszystkich przepisowych różnic [illegible] falowej.

Odbiór krótkofalowy ma swoje specjalne warunki, a nawet swoje tajemnice i kaprysy. Trzeba je dobrze poznać, chcąc wyciągnąć korzyści, możliwe już dziś, gdyż wiele rozgłośni zagranicznych nadaje specjalne, ciekawe programy krótkofalowe.

Jedną z wybitnych zalet transmisyj krótkofalowych jest brak, tak częstych przy audycjach nadawanych na małych falach zaburzeń, odbioru. Żadne maszyny elektryczne, zakłócające odbiór, nie działają w stosunku do fal poniżej 50 metrów długości.

Pozatem, czego, a zwłaszcza skąd nie można tą drogą usłyszeć! W biały dzień złapać można tą drogą Tokjo i Rio de Janeiro, Melbourne i Buenos Aires.

Można, — trzeba tylko znać godziny transmisyj tych stacyj, a zwłaszcza porę dnia, najpomyślniejszą do ich słuchania.

Trzeba też pamiętać, że wszystkie zasady audycyj dla fal krótkich są zupełnie inne, niż dla długich i średnich. Nie mogąc złapać stacji, oddalonej o 100 klm., możemy jednocześnie otrzymać odbiór z drugiego końca świata, tak [illegible] i [illegible], jakby pochodził z naszej rozgłośni lokalnej.

Jedną z najsilniejszych rozgłośni propagandy krótkofalowej jest niemiecka Zeesen, która nadaje jednocześnie na falach sąsiednich, między 31, a 38 m., oraz między 31, a 45 m. Słyszalność jest najsilniejsza w godzinach rannych i południowych do 16.00.

Program: koncerty i biuletyny prasowe w języku niemieckim i angielskim.

Około godziny 17.00 słychać dobrze inna stację, nadającą te same programy na fali 49.83. Wieczorem od godz. 20.00 Moskwę na 50-metrowej fali, Watykan na 50,26 w czasie od 19.00 do 19.15, oraz, również w tych godzinach, Daventry G. S. A., na 49.59.

Należy wreszcie będzie zaznaczyć, że rozpowszechnienie telewizji, ku któremu idziemy, szybkim krokiem, odbywać się będzie wyłącznie na ultra-krótkich falach. Tem gorliwiej więc powinniśmy zabrać się do ich studjowania.

Z WYDAWNICTW

Polski Kalendarz Lekarski na rok 1935 (wyd. Księgarni Nowości we Lwowie).

O potrzebie i wartości tego wydawnictwa, nie mającego równego sobie w całej Polsce, świadczy fakt, że obchodzi ono w roku bieżącym dziesięciolecie swego istnienia.

Faktycznie też jest to doskonałe „vade mecum", niezbędne każdemu lekarzowi praktykującemu. Poza najważniejszym i najobszerniejszym działem rozpoznawczo - leczniczym zawiera „Kalendarz" wyczerpujące rzeczowe informacje o wszystkiem, co lekarza interesować może, — począwszy od doskonale opracowanej klimato- i balneoterapji, radjo i elektro-terapji, aż do takich działów jak zatrucia, pierwsza pomoc w nagłych wypadkach, djetetyka, najważniejsze środki odżywcze i ich wartość kaloryczna.

Trudno omawiać szczegółowo każdy z kilkudziesięciu działów tego kalendarza. Wielką jego wartość zna doskonale każdy lekarz, — toteż wszelką reklamę uważam tu za zbyteczną.

Zwrócić tylko jeszcze pragnę uwagę na wyjątkowo estetyczną szatę zewnętrzną tego cennego wydawnictwa: czytelny druk, staranna korekta i znakomity, cieniutki papier, dzięki któremu całość, obejmująca 830 stron druku, mieści się w niewielkiej stosunkwo książeczce, o bardzo poręcznym formacie.

(dr. L.).